Nr. 11. Poznan, Niedziela dnia 13 marca 1910. Rok XIV.

PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu w stanowicie:

przy czteroraz. (miesięczn.) „ 15%
„ kwartalnem 13 × „ 25%
„ półrocznem 26 × „ 33⅓%
„ rocznem 52 × „ 50%

Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. Telefon 37.

Nr. 11. Poznań, dnia 13 marca 1910 r. Rok XV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97
Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Nasze wady.

Niepunktualność, niesłowność oto wady, które jakoby wrodzone były narodowi naszemu. Może być, że i inne społeczeństwa nie wiele lepsze są od nas pod tym względem, lecz z pewnością chyba nigdzie w świecie cywilizowanym wady te przykrzej się nie uwydatniają jak u nas. Sienkiewicz zastanawiając się nad powodem tych niepożądanych objawów, źródła ich upatruje w rolniczym charakterze naszego społeczeństwa. Ziemia jest niesłowna — powiada — więc nie dziw, że i ludność z ziemi żyjąca od swej żywicielki tę wadę przejęła. Niezawodnie dużo słuszności jest w tem zapatrywaniu. Jednakże cóż powiedzieć, jeżeli te same wady spotykamy w stanach, które od generacyj całych z zajęciami rolnemi nic nie mają wspólnego.

Niezawodnie mogą tu odgrywać rolę pewną atawizm i wpływy pośrednie, lecz najważniejszą przyczyną tych niecnót naszych, to znana nieopatrzność nasza i lekkomyślność, z jaką dajemy rozmaite przyrzeczenia, nie troszcząs się bynajmniej o ich wypełnienie.

Kto np. nie doświadczył, będąc kupcem lub rzemieślnikiem, przykrości wynikających z niedotrzymania umów? Zawarłeś umowę i liczysz z pewnością na to, że w tym a tym terminie otrzymasz taką i taką sumę; sumą tą rozporządziłeś, wiążąc się ze swej strony wobec osoby trzeciej, a tymczasem termin mija i nie tylko, że nie otrzymałeś umówionej sumy, lecz nawet doniesienia o mającym cię spotkać zawodzie ci poskąpiono! Jestto objaw tak w naszych stosunkach zwykły, że prawie za normę uchodzić może. Zawiera się poprostu umowy na to, aby ich nie dotrzymać. Lecz nie o tem chcieliśmy mówić. Chodzi nam o napiętnowanie tej lekkomyślności, z jaką się ludzie obchodzą z czasem swych bliźnich. Słyszy się często zdanie: czas jest pieniądz. Szczególnie kupcy i przemysłowcy frazes ten (niepiękny zresztą) powtarzają, lecz w praktyce życia nie widać, żeby hasło to należyte znalazło zrozumienie. Przychodzi np. ktoś do redakcyi pisma w interesie, któryby mógł w 5 minut załatwić. Gdzież tam, on siedzi godzinę i nie zważa wcale na to, że w najhaniebniejszy sposób okrada redaktora z drogiego czasu, któryby daleko produktywniej zużyć było można. Napróżno nieszczęsny redaktor wertuje papiery lub patrzy na zegarek, natarczywy interesent nie rusza się z miejsca, aż we wszystkie swe nieciekawe poglądy wtajemniczył biedną ofiarę swej rozlewnej gadatliwości. Jak często się zdarza, że ktoś poprosi do siebie interesenta na z góry oznaczoną godzinę, a potem albo sam wyjedzie i interesenta na stratę czasu naraża, lub też interesent przyjdzie godzinę później i zapraszającego wystawi na niepotrzebne oczekiwanie. Ile to razy interesenci z prowincyi umawiają się na pewną godzinę do kawiarni w Poznaniu, by jaki ważny interes omówić, a następnie spotkać się nie mogą, gdyż żaden z umawiających się nie uważał za stosowne stawić się w oznaczonym czasie. Takie objawy, że kupcy na swych klientów całe godziny czekać muszą, że agenci handlowi po kilkakroć tę samą muszą odbywać drogę, bo się z kupcem, który ich do siebie zamówił, spotkać nie mogą, są ciągle na porządku dziennym.

Oczywiście, że w świecie kupiecko-przemysłowym zazwyczaj dostawca towaru najbardziej jest bity wskutek takiej niepunktualności. Dostawca bowiem jest tak punktualny jak tylko być może. Natomiast odbiorca uwydatnia wobec niego całą swą bezwzględność. Świadomość, że dostawca jest od odbiorcy zależny, często jest też powodem, że ten w stosunku do dostawcy nie sili się nawet na zachowanie najpospolitszych form pospolitej uprzejmości. Mści się to dość często w ten sam sposób, bo nie ma chyba odbiorcy, któryby wobec innych nie występował w roli dostawcy, gdzie na te same przykrości bywa narażony, któremi innych nakarmił.

Niepunktualność w życiu handlowem także ze stanowiska etycznego bardzo niepięknie się przedstawia, gdyż uwydatnia się w niej wstrętna moralność silniejszego. Kto ma pieniądz sądzi, że nie potrzebuje brać względu na nikogo; kto ofiaruje towar, albo pracę, ten wszystko znieść powinien. Tak się niestety wielu — i to kupców i przemysłowców o ziemianach wcale nie mówiąc — zapatruje na te sprawy. A jednak jak boleśnie odczuwają kupcy i przemysło-

wcy, jeżeli kto z kupującej publiczności obejdzie się z nimi tak, jak oni się czasem obejdą z dostawcą, lub jego przedstawicielem. Mylne jest mniemanie, żeby publiczność lekceważyła sobie te stany, lub zgoła pogardzała niemi. Ona wyzyskuje tylko swą dominującą pozycyę odbiorcy wobec ofiarującego towar kupca i przemysłowca i stawa wobec niego na tem samem stanowisku silniejszego, co on wobec dostawcy niekiedy.

Punktualność jest uprzejmością królów, lecz powinna być także uprzejmością kupców, przemysłowców, wogóle wszystkich ludzi, którzy w życiu handlowem wydatniejszy udział biorą. Jeżeliby zaś według punktualności naszej naszą uprzejmość szacować miano, to wyrok o niej nie byłby korzystny.

Największy czas, abyśmy każdy z osobna nauczyli się szanować czas naszych bliźnich. Jeżeli zaś w drobnych na oko, a w rzeczywistości tak ważnych sprawach codziennego życia staniemy się punktualnymi i słownymi, to powoli nauczymy się także punktualności i słowności w interesach poważniejszych i większych. Tego nam wciąż jeszcze brak, lubo bezstronność i sprawiedliwość przyznać każe, że i pod tym względem zmieniliśmy się do niepoznania i to na korzyść.

W sprawie oboru zawodów
przez młodzież naszą

odbieramy od Zarządu Zjednoczenia Młodzieży Kupieckiej w Poznaniu następującą odezwę:

Niezadługo, a tysiące młodzieży obojga płci opuści na zawsze mury szkolne. Niewątpliwie w chwili tej troska zasępia czoła rodziców, dbałych o los swych dzieci, a zwłaszcza chłopców. Jakąż dolę gotuje im niedaleka przyszłość? Jaki zawód będzie dla nich najodpowiedniejszym, by w życiu znaleźli dostateczny byt i szczęście? Zaiste, położenie rodziców jest trudnem. Bo zważyć trzeba, że w każdym zawodzie panuje po dziś dzień przepełnienie i zacięta konkurencya. Sam obór odpowiedniego zawodu należy od rozlicznych warunków i okoliczności. Niezawsze „chęć“, lub „powołanie“, które u syna się objawia, wpływać powinny rozstrzygająco na postanowienia rodziców. Zaleca się poprzednio gruntownie zbadać pobudki, jakie syna do oboru odnośnego zawodu kierują. Wiemy z doświadczenia, że często z naiwnych zupełnie powodów pragnie chłopiec obrać sobie pewien zawód. W takich razach rozsądek rodziców lub opiekunów niechaj wejdzie w swoje prawa.

Niezawodnie całe zastępy młodzieńców rzucą się do zawodu kupieckiego. Oczywiście, jak w innych gałęziach zarobkowania tak i w handlu panuje nadprodukcya sił. Lecz fakt ten bynajmniej nie stanowi przeszkody, aby młodzieńcy uposażeni w odpowiednie zalety, nie mieli się zawodu tego imać. Inteligentny i obrotny młody kupiec znajdzie zawsze dobrą i trwałą posadę. Pragniemy atoli osobom interesowanym zwrócić szczególniejszą uwagę na gałąź handlu towarami spożywczymi (kolonialnymi). W niej przedewszystkiem zauważyć można niezmierzoną prawie różnicę między podażą sił a popytem. Jest ogromna liczba młodzieńców poszukujących posady, którzy codopiero ukończyli naukę. Już więc w zaraniu swej karyery młody kupiec borykać się musi z przeciwnościami. Tem większe one są, im mniej pożyteczną przeszedł naukę, im niższym jest poziom jego wykształcenia. Niestety coraz liczniej mnożą się przypadki, że nauka młodzieńca poszła na marne. Ogranicza się ona po części na przyswojeniu małej dozy towaroznawstwa i pewnych technicznych wykonywań, jak ważenia, mieszania i t. d. Reszta zaś czasu nauki zużytą została na pełnieniu prac zwykłego robotnika. Pożałowania godzien jest mianowicie los uczni pełniących obowiązki w handlach towarami spożywczymi, a połączonymi z piwiarnią, szynkiem lub hotelem. Jeżeli młodzieniec dostał się w ręce mało rzetelnego pryncypała, natenczas okres jego nauki jest w istocie opłakanym. W takich interesach służba trwa od godziny 6-tej rano do późnej nocy. Nie starczy uczniowi czasu koniecznego na wypoczynek. O kształceniu młodzieńca teoretycznie pryncypał nie pomyśli. Albo nie chce, albo sam nie umiałby potrzebnych wiadomości jemu wpoić. Zresztą na ten cel nie starczy czasu. Niepodobna przecie o godzinie 2-giej w nocy, gdy ostatni gość z piwiarni wyjdzie, zajmować się lekturą. W takich warunkach rzeczywiście szybko objawia się u ucznia wycieńczenie sił i stępienie umysłu. W młodzieńcu nierzetelny pryncypał nie widzi bowiem ucznia, lecz tanią siłę roboczą, którą pragnie do ostateczności wyssać.

Wskutek nieodpowiedniej nauki cierpi młody pomocnik, cierpi organizacya, do której należy, i cierpi w równej mierze kupiectwo całe. Coraz częściej podnoszą się więc narzekania pryncypałów, poszukujących dobrych pomocników, na niedostateczne wykształcenie i wiadomości kupieckie kandydatów. Znamy dokładnie błędy panujące w szeregach kolegów naszych, i o ile siły i środki nam starczą, pracujemy w organizacyi naszej nad ich umniejszeniem. Całkowitego ich wykorzenienia lub tylko znaczniejszego polepszenia stosunków odnośnych spodziewać się jedynie można od zreformowania gruntownego sposobu nauki w handlach. Atoli wiele już do polepszenia w tym kierunku przyczynić się mogą rodzice i opiekunowie, oraz pryncypałowie, miłujący swój zawód. Niechaj więc rodzice lekkomyślni nie oddawają syna w naukę do pierwszego lepszego handlu, niechaj raczej zasięgają poprzednio informacyi i rady od czynników kompetentnych. Niech przytem nie zapominają o bardzo ważnej okoliczności t. j., czy młodzieniec będzie miał dosyć sposobności do kształcenia się w języku ojczystym i w wiadomościach teoretycznych.

Dalej zalecamy rodzicom zbadanie stosunków moralnych panujących w interesie danym, czy n. p. syn ich w takiem miejscu na duszy nie poniesie szkody. Również zapewnić sobie należy wolność do wykonywania praktyk religijnych. Zdarzają się bowiem wypadki, że przez kilka niedziel uczeń nie może wysłuchać nabożeństwa.

Do pryncypałów zaś naszych, starających się o polepszenie doli kupiectwa polskiego, zanosimy gorącą prośbę, aby w wyborze uczni zechcieli być nieco wybredniejszymi i nie przyjmowali pierwszego lepszego kandydata na ucznia. Niechaj nie tylko zważają na zasób wiadomości szkolnych uczni, lecz w większej mierze jeszcze zwracają uwagę na jego zalety osobiste i stopień inteligencyi. A gdy spostrzegą w czasie próby, że młodzieniec nadaje się raczej do innego zawodu jak do kupieckiego, niechaj natenczas, kierując się sprawiedliwością, zwrócą uwagę tak uczniowi jak jego rodzicom.

Wskutek niedostatecznych wiadomości tak ogólnych jak kupieckich, gwałtownie proletaryzują się szeregi polskiej młodzieży kupieckiej. Całe zastępy młodych pomocników szukają daremnie pracy lub zmuszone są przyjmować mizernie opłacane posady. Należy temu przeciwdziałać, inaczej kupiectwu polskiemu zabraknie sił do spełnienia swego zadania w społeczeństwie naszem. W tej pracy prosimy o pomoc.

Zarząd Zjednoczenia Młodzieży Kupieckiej w Poznaniu.

Rodzice polscy, nie wolno Wam niemczyć dzieci Waszych!

Zbliża się czas, gdzie na obczyźnie dzieci przystępować będą do pierwszej Komunii św. Chwila to niezwykłej wagi w życiu dziecka, pamiętna na całe życie. Najdrobniejszy szczegół chwili tej wciska się głęboko w pamięć dziecka i nie ma wśród katolików człowieka, któryby o chwili tej z czcią i wzruszeniem nie wspominał. Ale właśnie dla tego, że chwila ta tak pamiętną, Rodzice mają wielki obowiązek przyczynić się do tego, aby nic uroczystości i piękności chwili tej nie mąciło.

Niestety! zdarza się tak często, że Rodzice polscy z znanej i tyle wykpiwanej przez obcych ustępliwości polskiej lub też z nieznajomości praw rodzicielskich, dzieciom swoim jako pamiątkę pierwszej Komunii św. kupują do nabożeństwa książkę — **niemiecką.** Jest to smutne, dla pojęć Rodaków naszych w kraju niesłychane, ale, niestety, prawdziwe.

Rodzicom polskim zwracamy uwagę na to, że nie ma takiego prawa i nie ma takiej władzy, która zniewolićby mogła Rodziców do kupienia dzieciom swoim na pamiątkę pierwszej Kamunii św. książkę niemiecką. Apelujemy przeto do serc Rodziców polskich, apelujemy do ich poczucia religijnego i narodowego, aby dzieciom swoim na pamiątkę pierwszej Komunii św. kupowali jedynie **polską** książkę do nabożeństwa. Wtenczas dopiero w zupełności ta uroczysta chwila dla dzieci naszych polskich będzie podobną tej chwili, o której my starsi z czcią wspominamy.

Dziecko rodziców polskich jedynie z polską książeczką do nabożeństwa przystąpić powinno do Komunii św. tak, jak na polskie dziecko przystoi.

Rodzice polscy! wielka jest odpowiedzialność Wasza przed Bogiem i narodem za dzieci Wasze i mamy nadzieję, że w poczuciu tej odpowiedzialności nie pozwolicie tej pięknej dla dzieci chwili używać do germanizacyi.

Za okręg westfalsko-nadreński „Straży“
Stanisław Kunz, prezes. **Michał Kwiatkowski,** sekretarz.

Z TEATRU.

W. Perzyński: Szczęście Frania.

W plejadzie naszych rodzimych dramatopisarzy Włodzimierz Perzyński niepoślednie zajmuje miejsce. Jego „Lekkomyślna siostra“ i „Idealiści,“ utwory dawane także na naszej scenie ze znacznem powodzeniem, dobrą pamięć zostawiły u naszej publiczności. „Szczęście Frania,“ najnowsze dzieło młodego i utalentowanego dramaturga, bezsprzecznie do lepszych dzieł naszego repertuaru zaliczyć należy. Dużo tam trafnej obserwacyi życiowej i tego subtelnego zacięcia satyrycznego, tej lekkiej, wytwornej ironii, którą z taką maestryą władają wybitniejsi nowocześni autorzy sceniczni. Autor bardzo szczęśliwie opracował zresztą niezbyt wyszukany wątek dramatyczny i zręcznie sharmonizował pierwiastek tragiczny z żywiołem komicznym, z czego powstała zupełnie prawidłowa tragikomedya. Małych ludzi i małe namiętności przedstawia nam autor, ludzi, jacy tysiącami chadzają po ulicach każdego miasta, więc i przeżycia, które dla natur głębszych stanowiłyby źródło wielkich katastrof tragicznych, tutaj tylko miałkie żłobią bruzdy. Franio, mimo całe swe niedołęstwo najgłębsza w sztuce natura i najbogatsza uczuciowość, pobierze się z Helą, zdradzoną kochanką swego awanturniczego nauczyciela rysunków, i skandal, nad którym tak biadają jej rodzice, będzie usunięty. Państwo Franiowie zaś z czasem zżyją się i utormują stadło małżeńskie, jakich wiele na tym najlepszym z wszystkich przypuszczalnych świecie.

Sztuka wyreżyserowana była dobrze. Główne role Heli i Frania spoczywały w rękach p. Turowiczówny i p. Borońskiego, którzy wywiązali się z zadania bardzo ładnie. Z wielką prawdą i szczerością grał p. Boroński szczególnie w ostatnim akcie. Znakomitą kreacyę dał nam p. Andruszewski, co także o grze p. Sieniawskiej powiedzieć należy. Również zupełnie na miejscu był p. Kęcki jako uwodziciel Heli, a p. Czerniakowa z właściwą sobie sumiennością opracowała rolę Mroczyńskiej. Pani Sznagowa tym razem tylko małą miała rolę, którą oddała należycie.

Publiczność tak sztukę jak grę artystów przyjmowała sympatycznie.

R.

* * *

H. Sudermann: Gniazdo rodzinne.

(Przedstawienie amatorskie na rzecz Ogródków dla dzieci).

„Gniazdo rodzinne“ należy, jeżeli nie do najlepszych, to z pewnością do najgłośniejszych dzieł (zresztą niezbyt bogatej w dobre dramaty) nowoczesnej niemieckiej literatury scenicznej. Dramat ten grano kilkakroć na scenie naszej za dyrekcyi p. Rygera. Ostatni raz, jeżeli się nie mylimy, przed 7 czy 8 laty z Modrzejowską w głównej roli. I lubo sławna ta artystka wonczas dawno już była przekroczyła zenit swej karyery artystycznej i już tylko z resztek bogato nagromadzonego kapitału swej sztuki żyła, to jednak w swej Magdzie stworzyła kreacyę tak potężną jeszcze, że niemało potrzeba było odwagi, by po niej w tej samej roli wystąpić przed tą samą mniej więcej publicznością.

Zadania tego podjęła się pani drowa Kucnerowa. Występ jej poprzedzała sława zdobyta z okazyi licznych poprzednich popisów aktorskich i deklamatorskich. I lubo z wygórowanemi zdążaliśmy do teatru wymaganiami, to jednak to, co widzieliśmy w poniedziałek, przewyższało wszelkie sprawiedliwe oczekiwania. Pani Kucnerowa dała nam w swej Magdzie pod każdym względem piękną i szlachetną kreacyę. Było w tej grze subtelnej tyle szczerości, tyle rzetelnej prawdy, takie umiarkowanie i powściągliwość w szafowaniu patosem i gestem, tak oględna ekonomia w środkach artystycznych, że zapominało się zupełnie, iż interpretka Magdy jest amatorką, która sztukę sceniczną tylko dorywczo traktuje. Rola Magdy była opracowana z wielką starannością w najdrobniejszych detalach. Nad każdym gestem, nad każdym niuansem głosu czuwał wyostrzony autokrytycyzm szanownej amatorki. I mimo to wypracowanie, żeby się tak wyrazić wycyzelowanie detali, nie gubiła się amatorka w finezyjnej obróbce szczegółów bynajmniej, lecz zawsze miała na oku ogólne kontury kreowanej przez siebie postaci, którą odtwarzała w wyrazistych, zdecydowanych liniach. Słowem Magda p. Kucnerowej była znakomicie sharmonizowaną kreacyą, wysoce artystyczną transpozycyą niematerialnej wizyi intelektualnej i szeregu skoordynowanych nastrojów uczuciowych w materyalną sferę jawy scenicznej. Wysoka duchowa treść w artystycznej podana formie, oto jak najkrócej można określić grę p. Kucnerowej.

Reszta ról żeńskich rozdana była bardzo szczęśliwie. Tak Szwarcową grała p. drowa Rydlewska. Nieefektowna ta, trudna i niewdzięczna rola w umiejętnej i naturalnej interpretacyi p. Rydlewskiej wypadła wprost znakomicie. Z wielkim wdziękiem i ujmującą swobodą odtworzyła p. Woyniewiczówna w Maryni sympatyczny typ naiwnego i skromnego dziewczęcia. Przesadna, histeryczna i złośliwa Franciszka w p. Otmianowskiej dobrą znalazła przedstawicielkę. Również małe role Teresy, jenerałowej, radczyni i kupcowej u pań Koźlickiej, Kaczmarkówny, Górnej i Szenicówny w stosownych były rękach.

Z mężczyzn na pierwszy plan wysunął się p. dr. Rydlewski. Rola Szwarcego obfituje w silne i wielce drama-

tyczne momenty. Są to jakoby sidła pozastawiane na odtwarzającego. Nic łatwiejszego jak popaść w takich miejscach w pozę lub dać się unieść kuszącej fali czczej deklamacyi. Pan dr. Rydlewski nader szczęśliwie uniknął tych niebezpieczeństw i dał nam dzięki absolutnej szczerości swego niepospolitego talentu kreacyę w wysokim stopniu artystyczną. I w jego grze należy nam podnieść owo wielkie umiarkowanie, ową powściągliwość w tonie i geście, o której z takiem uznaniem wspominaliśmy w ocenie gry p. Kucnerowej. Szanowny amator swą prostolinijną, nie goniącą za taniemi efekcikami grą osiągnął wysokie artystyczne rezultaty. Jego Szwarce bowiem trwałe u widza pozostawił wrażenie. Silna indywidualność szanownego amatora na tej twardej żołnierskiej postaci swoje specyalne wyryła piętno...

Trudną rolę Kellera objął p. Chwałkowski i zdaje się, że pojął postać tę inaczej, jak utarty szemat, a prawdopodobnie i autor ją pojmować każe. Zaznaczyć jednak z uznaniem należy, iż szanowny amator swego Kellera w tych odmiennych liniach umiejętnie i konsekwentnie utrzymać zdołał.

Pan Drygas jako pastor z zadania wywiązał się bardzo ładnie, co także o p. Szulcu (Maks) powiedzieć należy. Epizodyczne role jenerała i profesora u pp. Koźlickiego i dra Marchlewskiego w dobrych były rękach.

Reżyserya zajął się z wielką starannością i umiejętnością p. Bogusiński. Tłumaczenia dramatu dokonał p. Seweryn Wrzesiński. Publiczność przepełniła teatr po brzegi i entuzyastycznie oklaskiwała amatorów. Nieprzebrane mnóstwo kwiatów pojawiło się na scenie. Dodać jeszcze należy, że czysty zysk z przedstawienia przeznaczony jest na rzecz „Ogródków dla dzieci.“

Wszystkim, którzy w tym szlachetnym celu współdziałali należy się wdzięczność i uznanie.

R.

Próżniak ma czas tak bardzo próżniactwem zajęty, że mu go na pracę nie staje.

* * *

Nie każdy umie ukrywać swoje słabości tak starannie, jak Cezar umiał ukrywać łysinę pod wieńcem laurowym.

* * *

Jeżeli chcesz poznać człowieka, pozwól mu mówić i licz, ile razy w ciągu kwadransa użyje zaimka „ja“.

Klasztor OO. Reformatów
w Poznaniu

Skreślił
Dr. Stanisław Karwowski.

(Ciąg dalszy.)

W tym czasie też powróciło na łono katolickiego kościoła kilka osób i to 1790 r. 18-letni Józef Karol Teodor Danielczyk, dworzanin Józefa Łukaszewicza, wójta poznańskiego, posesora Główna, a syn lutra Bogumiła, który przez lat 29 służył w gwardyi litewskiej, 1795 r. Katarzyna z Obornik, córka szewca Jana Chrystyana i Maryanny, katolików, która po stracie rodziców wychowana została w wierze luterskiej przez opiekuna, młynarza z Obornik, w tymże roku Marya Filipina Deringowa, żona katolika Chrystyana Ambrozyusza, żołnierza pruskiego, która, gdy do niej w godzinę śmierci nie chciał przyjść pastor protestancki z obawy przed zarazą, zawezwała Reformata Pacyfika Kazubskiego, znającego język niemiecki, i w jego ręce złożyła wyznanie wiary katolickiej.

Dnia 26 października 1796 r. ochrzcony też został przez Florkowskiego, kanonika kolegiaty ś. Mikołaja, proboszcza pogorzelickiego i komendarza ś. Jana, w obecności całego konwentu krawiec Benjamin Izrael, żyd lat 51 z Czarkowa pod Rogoźnem, przyczem otrzymał nazwisko: Szymon Chęciński. Chrzestnymi byli: Onufry Jankowski i Teodora Stęszewska, asystowali zaś Bonifacy Stęszewski i panna Agnieszka Sawicka, wszyscy z Chwaliszewa.

Dnia 18 lutego 1797 r. umarł w klasztorze *in odore sanctitatis* 65-letni *Antoni Zapartowicz*, ex-kustosz prowincyi, prefekt studyów i regularny kaznodzieja klasztorny. Po jego zgonie chłopcy, chodząc po ulicach, wołali: „Nasz ś. Antoni umarł“, a mnóstwo ludzi odwiedzało ciało jego aż do pogrzebu, który odbył się z wielką okazałością przy udziale całego duchowieństwa katedralnego.

Za gwardyana *Hieronima Bystrego* (1799—1801) otrzymał kościół reformacki dwa kielichy srebrne z patenami, z których jeden ofiarował *Gozimirski*, kanonik gnieźnieński i warmiński. Nadto pozyskano dwie nowe kropielnice kamienne tym sposobem:

Gdy w r. 1799 rozbierano kościół ś. Maryi Magdaleny i różne z niego sprzedawano kamienie, nagrobki itd., wystarał się O. Benedykt Sydry, lektor ś. teologii, że darowano lawetarz kamienny kościołowi reformackiemu na kropielnicę, ale ponieważ był za wielki, przeto Sydry w porozumieniu z pp. Sobolewskim i Karwem ugodził się z pewnym snycerzem kamiennym w ten sposób, że tenże miał wziąć lawetarz, a z nowego kamienia zrobić dwie kropielnice, co się też stało z przyczynieniem krawca Rapaka, strażnika rozbioru kościoła farnego, który z swej kieszeni dopłacił kamieniarzowi 18 złp.

Także za staraniem Sydrego położono na cmentarzu kamień, oznaczający miejsce pochowania kości, oraz przelano dzwonek, który był pękł 1797 roku.

Od r. 1802 był gwardyanem *Michał Nożyński,* od r. 1803—1809 *Benedykt Sydry.*

Sydry rozpoczął wiele reparacyi, gdy w lipcu 1804 r. z rozporządzenia króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III odebrano OO. Reformatom klasztor z wszyskimi budynkami i ogrodami i przeznaczono na seminaryum nauczycielskie. Skutkiem tego musieli Ojcowie wynieść się do innych klasztorów reformackich swojej prowincyi, sam tylko gwardyan pozostał dla ukończenia interesów za pozwoleniem kamery poznańskiej. Nim jednak je ukończył, nadeszło z Berlina pozwolenie dla gwardyana odprawiania nabożeństwa w kościele reformackim, którego rządcą go mianowano. Że jednak kościół potrzebował do pracy więcej księży, a katedra poznańska posług ze strony OO. Reformatów, przeto na usilne prośby gwardyana, a za wstawieniem się biskupa poznańskiego, kamery poznańskiej i dyrektora seminaryum Józefa Jeziorowskiego uzyskano pozwolenie urządzenia mieszkania dla gwardyana i jeszcze trzech księży w murach gotowych kościelnych i kościołowi przyległych z warunkiem odłączenia się zupełnego murem przedziałowym tak na dole, jak na górze od pomieszkań seminarzystów i klas, już w klasztorze urządzonych.

Zabrał się więc gwardyan Sydry do roboty z pomocą dobrodziejów *Antoniego Załuskowskiego, Benedykta Sadowskiego,* starosty gnieźnieńskiego *Skórzewskiego,* wojewody *Stanisława Mycielskiego,* szambelana *Cieleckiego* z Rudek, syndyka apostolskiego *Lipskiego, Ponińskiej* z Wrześni, dziekana katedralnego *Przyłuskiego,* proboszcza obornickiego *Konopki, Nieżychowskiego* z Radzimia, „komedyanta z Warszawy“ *Bogusławskiego,* „komedyanta“ *Dmuszewskiego,* sędziego *Bnińskiego, Dzieduszyckiego* z Nowejwsi, *Grabskich* z Słopanowa, *Szołdrskiej,* chorążyny *Miaskowskiej, Żółtowskiego* z Wydzierzewic, *Paschalisa Radolińskiego, Suchorzewskiej, Bonieckich, Stremlera,* kupca poznańskiego, i innych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości.

— **Od Wydziału ekonomicznego Korporacyi Kupców Chrześciańskich** w Poznaniu otrzymujemy następującą odezwę:

Poważnemi przyczynami niepowodzenia naszych przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych są:

1) Usamodzielnianie się bez dostatecznych wiadomości zawodowych, doświadczeń i kapitałów.

2) Nieumiejętność prowadzenia ksiąg handlowych i zestawiania bilansów.

3) Brak poglądu na rzeczywisty stan przedsiębiorstwa i brak w nim organizacyi wewnętrznej.

4) Nierozważne lub lekkomyślne czerpanie i udzielanie kredytu.

5) Brak umiejętności w stosowaniu właściwych środków przy niepowodzeniu przedsiębiorstwa.

6) Niezaradność w sprawach hipotecznych i przy transakcyach nieruchomości.

Pragnąc chociaż w części przyczynić się do zaradzania złemu, utworzył się w łonie Korporacyi Kupców Chrześciańskich w Poznaniu Wydział ekonomiczny celem.

a) udzielania rad i wskazówek przy zakładaniu nowych przedsiębiorstw i przy transakcyach nieruchomości i hipotekach;

b) badania bilansów i położenia majątkowego firm.

Piśmienne zapytania należy adresować do przewodniczącego Wydziału p. T. Filipowicza Poznań — (Posen) Jezuicka 5. (Jezuitenstr. 5.)

Ustnie udzielają wskazówek i rad:

a) w sprawach zakładania przedsiębiorstw:
p. K. Ignatowicz, Poznań,
p. dr. K. Bajoński, Poznań (Bank Przemysłowców);

b) w sprawach bilansowych i sanacyjnych:
p. dr. M. Głowacki, Poznań, Naumana 9,
p. dr. K. Hącia, Poznań (Bank Włościański).

Wydział podaje interesentom likwidacye wydatków i kosztów, które regulować należy na ręce skarbnika p. dra K. Bajońskiego, Poznań(Posen) Bank Przemysłowców.

Prosimy społeczeństwo o poparcie naszych dążności udzielaniem informacyj. ilekroć się o nie zgłosimy.

Tylko taka wzajemność umożliwi dobre wyniki naszych zabiegów.

Poznań, w marcu 1910.

Wydział ekonomiczny Korporacyi Kupców Chrześciańskich.

T. Filipowicz, przewodniczący.
K. Otmianowski, sekretarz.

W interesie ogółu prosimy pisma polskie o powtórzenie powyższej odezwy.

— **Oratoryum.** Dnia 17-go marca b. r. odbędzie się na wielkiej sali Lamberta koncert religijny pod kierownictwem ks. W. Gieburowskiego. Wykonane zostanie oratoryum Bol. Dembińskiego: Planctus Beatae Mariae Virginis (Stabat Mater), na sola, chóry i orkiestrę. Utwór ten ukaże się po raz pierwszy na estradzie koncertowej i wzbudzi niewątpliwie wielkie zainteresowanie wśród lubowników śpiewu i muzyki. Jako drugi numer programu wykonanem zostanie oratoryum L. Perosi'ego: Wskrzeszenie Łazarza, również na sola, chóry i orkiestrę.

W powyższych dwóch utworach wezmą udział wybitne siły artystyczne wraz z chórami „Lutni“ i wielką orkiestrą, składającą się z 60 muzyków. Ponieważ zainteresowanie jest wielkie i już dużo nadeszło zamówień na bilety, przeto należy jak najwcześniej zaopatrzyć się w dobre miejsca. Sprzedaż biletów rozpoczęła się już w składach muzykalij Niemierkiewicza i Bote i Bocka, a mianowicie po mrk. 4,20 za loże, mrk. 3,15 i 2,10 za krzesło parterowe. Dla członków „Lutni“ odbywa się sprzedaż biletów tylko w lokalu Towarzystwa przy Starym Rynku 80 I. p. w podwórzu w poniedziałki, wtorki, czwartki i piątki od godziny 7-mej do pół do 9-tej wieczorem. Członkowie nieczynni mają prawo do jednego, członkowie czynni do dwóch biletów po cenie zniżonej.

— **Wystawa w Krotoszynie.** W sobotę ubiegłą po poł. odbyło się w Krotoszynie, w lokalu p. Dymlanda posiedzenie komitetu, na którem zarząd wystawy przedłożył poczynione dotąd kroki przygotowawcze do wystawy przemysłowej, która się ma odbyć od 19-go czerwca do 10-go lipca br. w Krotoszynie.

Przygotowania do takowej postąpiły tak daleko, że komitet przyjmuje już obecnie zgłoszenia przemysłowców zamierzających brać udział w wystawie.

Informacyj potrzebnych udziela sekretarz wystawy, p. Feliks Kasprzak w Krotoszynie.

— **Zebranie kwartalne „Straży“** odbędzie się w **Zbicznie** Pr. Zach. w niedzielę 13 bm. o 4 godz. po poł. wlokalu p. Dejewskiego.

Liczny udział członków miejscowych i z okolicy koniecznie pożądany, o który prosi

B. Bardzki, starosta.

— **Dla biednego inwalidy** otrzymaliśmy w dalszym ciągu od p. W. Rydzewskiego z Szołdr 3 mrk. Sumę tę odesłaliśmy biednemu inwalidzie.

Krotoszyn. Zjednoczenie towarzystw Krotoszyńskich urządza w niedzielę, dnia 13. b m, o godz. 7 i pół wiecz. na sali p. Dymlanda obchód jubileuszowy Fryderyka Chopina z następującym programem: Część I. 1. Słowo wstępne. 2. Polonez Nr. 1 op. 26, fortepian, (Fr. Chopin). 3 Odczyt. 4. „Na wygnaniu“, chór mieszany. muzyka Möhringa, słowa Siemieniowskiego 5. Preludyum nr. 15. Deklamacye. L. Rydel. Część II. Nokturn D-dur op. 9 nr. 2. solo na skrzypce (Fr. Chopin). 7. „Przed pomnikiem Chopina“, deklamacya (Bożymir). 8. Fantaisie Impromtu op. 66 fortepian (Fr. Chopin). 9. Pieśń zgody, chór męzki (Mozart). 10. Żywy obraz „Chopin u księcia Antoniego Radziwiłła“, według obrazu Siemiradzkiego. Ażeby wszelkim warstwom ludności Krotoszyna i okolicy dać okazyę uczczeniu sławnego mistrza muzyki unormowano wstęp bardzo nizki. **Komitet.**

— **Czwarty rok Wyzwolenia w Poznaniu.** Wyzwolenie w Poznaniu zamknęło z końcem roku 1909. czwarty rok swej działalności. W Poznaniu więcej, jak może gdzieindziej, utrudniona jest praca i postęp towarzystwa abstynenckiego z powodu większej okazyi do używania napojów alkoholowych, a także wielkiej liczby innych towarzystw, które sobie nawzajem członków zabierają. Pomimo to Wyzwolenie w Poznaniu nie cofa się, ale, choć z trudem, idzie naprzód. Na początku roku 1909. było członków 84, w ciągu roku przybyło 23, ubyło 18 (przez wystąpienie 9, wyjechało 4, skreślono 5); na rok 1910 przeszło zatem 89 członków.

Najwięcej uwagi zwraca towarzystwo na uświadomienie członków pod względem szkodliwości alkoholu, stąd na zebraniach, których było 16, wygłaszano przeważnie wykłady z dziedziny alkoholizmu, nadto otrzymują członkowie na koszt kasy pismo abstynenckie, Przyjaciela Trzeźwości. Delegaci towarzystwa przemawiali na wiecach w sprawie wstrzemięźliwości w Szamotułach i Głownie. Wiec w Głownie, który towarzystwo zwołało cieszył się wielkim udziałem uczestników.

W porze latowej urządziło towarzystwo cztery wycieczki w okolicę Poznania, zimową porą zaś wieczornicę z przedstawieniem i tańcami. Także podczas zebrań były deklamacye i mniejsze występy na ochotnika. Osobne zebranie poświęcone było pamięci Juliusza Słowackiego. W rocznicę założenia towarzystwa odbyła się w kościele świętomarcińskim msza św.

Oto w kilku słowach działalność zeszłoroczna Wyzwolenia poznańskiego.

Cele Wyzwolenia są znane: walka z alkoholizmem, a tem samem podniesienie społeczeństwa na wyższy szczebel moralny, zdrowotny, materyalny. Życzyćby tylko należało,aby jak największa liczba ludzi dobrej woli cele te zrozumiała i czynnie poparła.

Warunki członkostwa są następujące: wstrzymywanie się od wszelkich napojów upajających (przynajmniej przez rok) i składka 20-fenygowa. Zgłosić na członka można się na zebraniach, które odbywają się w 2-gą i i 4-tą niedzielę o 8-mej wieczorem na sali Dominikańskiej, a także u prezesa p. dr. Gantkowskiego (Stary Rynek 75.), lub u sekretarza p. K. Pendowskiego, Zielona 3.

Cej.

Nekrologia.

† **Ś. p. Roman Szudziński,** dnia 25-go z. m. w Chicago (w Ameryce) w 56-tym roku życia. Zmarły był dobrym Polakiem i gorącym patryotą; między innemi brał żywy udział w kilku towarzystwach polskich chicagoskich. — **Ś. p. Stanisław Frydrychowicz,** dnia 2-go z. m. w Chicago (w Ameryce) w 29-tym roku życia. — **Ś. p. Włodzimierz hr. z Bnina Bniński,** dnia 28-go z. m. w Poznaniu. Zwłoki złożono w grobach rodzinnych w Gułtowach dnia 4-go b. m. — **Ś. p. Filomena Nowicka,** dnia 2-go b. m. w Koscianie. — **Ś. p. Marya Michalska,** dnia 1-go b. m. w Poznaniu w 21-szej wiośnie życia. — **Ś. p. Franciszek Jankowski,** dyplom. inżynier, dnia 1 go b. m. w Ostrowie w 57-mym roku życia. — **Ś. p. z Rychlickich Katarzyna Więckowska** dnia 9-go b. m. w Nakle. — **Ś. p. Roman Ziołecki,** radzca budowlany, dnia 3-go b. m. w Zakopanem w 68-ym roku życia. Zwłoki złożono w Poznaniu na starym cmentarzu świętomarcińskim. — **Ś. p. Stefan Bojanowski,** dnia 3-go b. m. w Krakowie, przeżywszy lat 59. Zwłoki złożono do grobu familijnego w Gostyczynie (powiat ostrowski, W. Ks. Poznańskie). — **Ś. p. Aniela Stojanowska,** dnia 4-go b. m w Koszrzynie. —**Ś. p. Karol Krajewicz,** dnia 5-go b. m. w 41-szym roku życia. Pogrzeb odbył się w Poznaniu. — **Ś. p. Edmund Stanisław Tadeusz Jastrzębiec-Dzierzgowski,** były właściciel „Zielonej Apteki“ w Poznaniu, dnia 5-go b. m. w Poznaniu, licząc lat 55. — **Ś. p. Maksymilian Baranowski,** dnia 5-go b. m. w Berlinie. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **„Psyche“ w Krakowie.** — Pseudonimów, anonimów itp. się nie uwzględnia.

— **Panu L. W. w Szamotułach.** — Znowu „musztarda po obiedzie!“ Notatki do najbliższego numeru musimy najpóźniej otrzymać

w każdą środę rano, a jeśli w tygodniu np. w czwartek jest święto, już we wtorek rano.

— **Panu W. S. w Poznaniu.** — Słowo „lapidarny“ oznacza coś krótkiego, zwięzłego a więc „lapidarna definicya“ znaczy krótkie, zwięzłe, treściwe określenie.

— **Pani C. K. w S.** — Trzeba być cierpliwym, takich osób są całe szeregi.

— **Panu P. L. w Bey Chehir. (Turcya azyatycka).** — Informacye w tej sprawie przekraczają naszą kompetencyę; zgłoś się Szan. Pan po nie z odwołaniem się na „Pracę“ do Redakcyi „Niwy Polskiej“ w Krakowie, ulica Sławkowska l. 21.

Reklamy.

Fotografia ma dzisiaj znaczenie wszechświatowe. Opierają się na niej urządzenia państwowe, postępy techniczne i mechaniczne, posługują się nią kultura i sztuka. Ma swoje aparaty fotograficzne wojsko marynarka i policya; nie może obyć się bez nich wynalazca, geolog, inżynier i geograf; oddają one niezmierne przysługi nauce i wychowaniu. Zabytki architektury, zjawiska przyrody, obyczaje i obrzędy ludów, dzieła sztuki i prace ducha ludzkiego, poznajemy przeważnie za pomocą fotografii, najszczerszej, najbezstronniejszej przyjaciółki ludzkości.

Umiejętnie zastosowana sztuka fotografowania w ręku miłośnika amatora wielkie oddaje mu przysługi. Daje sposobność zapoznania się z zabytkami historycznymi; zbliża do przyrody i pozwala odkrywać nieznane jej tajemnice; utrwala ginące stroje i obrzędy ludu wiejskiego, przedewszystkiem zaś kształci umysł, wprawia rękę i oko i budzi umiłowanie stron rodzinnych oraz całej natury, na której łonie tak miło strudzonej duszy wypocząć.

Aby fotografia osięgła odpowiedni swemu znaczeniu skutek, nieodzownym warunkiem jest posiadanie dobrego w całem tego słowa znaczeniu aparatu. Tylko z takim amator, zwiedzający różne strony świata lub obierający za pole działania swój kraj rodzinny, może być pewien przyjemności i powiększenia swej wiedzy.

Pod tym względem pierwsze i jedyne miejsce w Poznaniu zajmuje instytut „Camera“ pod umiejętnem i fachowem kierownictwem p. **Z. Śniegockiego** przy ulicy Rycerskiej 37. Nie tylko ogromny wybór aparatów, od najtańszych do najdroższych najnowszej konstrukcyi i bogato w wszystkie przyrządy, środki techniczne i dodatki zaopatrzony skład zasługują na uznanie i poparcie publiczności.

Przedewszystkiem odznacza się ten pierwszy polski skład przyborów fotograficznych w W. Ks. Poznańskiem usługą fachową, polegającą na wytrawnej znajomości przedmiotu tak ze strony szefa jak i jego personalu. Przedmiot swój traktują oni z zamiłowaniem, z naukową dokładnością, opierając się na poznaniu indywidualnych potrzeb interesentów, a także i stosunków miejscowych.

Nawet w znacznie większych miastach trudno znaleźć tak praktycznie i zasobnie urządzony instytut.

Więc udzielają wszelkich wyjaśnień, urządzają demonstracye na miejscu, służą wskazówkami i radą w każdym kierunku. W ostatnim czasie nawet zaprowadziła „Camera“ regularne bezpłatne kursa naukowe w dziedzinie fotografii w czwartki wieczorem o godzinie 8-mej. Wynika z tego, że nie tyle kupiecka strona, ile raczej naukowe traktowanie przedmiotu główną tutaj odgrywa rolę.

Jestto znów najlepszą rękojmią, że każde życzenie publiczności znajdzie uwzględnienie, każde zamówienie wykonane zostanie ściśle i niezwłocznie.

Stąd idzie, że przy zbycie wielkim skład ciągle się odnawia, że nie ma w nim przedmiotów przestarzałych technicznie, ale nowe przesyłki fabryczne idą z ręki do ręki i znów świeżym ustępują miejsca.

Tym sposobem „Camera“ jest nietylko pierwszorzędnym polskim składem przyrządów fotograficznych, ale zarazem jedyną praktyczną szkołą w dziedzinie fotografii. Dzisiaj przy udoskonaleniu wszystkich środków nie przedstawia przedmiot ten prawie żadnych trudności. Usunie je zresztą od razu jasno i poglądowo ułożony wstęp do cennika oraz wszelkie zawarte w nim wskazówki, a przedewszystkiem ustna informacya na miejscu.

Wobec znaczenia fotografii w życiu, wielkich wypływających z niej przyjemności i korzyści, jej znaczenia w etnografii, historyi, nauce i sztuce, nasz instytut polski w publiczności naszej winien znaleźć gorącego poplecznika i stałego nabywcę.

„Camera“ zasługuje na to w całej pełni. Zwracamy baczną uwagę na ogłoszenie zamieszczone na drugiej stronie okładki.

— **Panowie Kazimierz Greger i Bogdan Pyszkowski,** młodzi i rzutcy przemysłowcy, po odbyciu kilkoletniej praktyki w pierwszorzędnych firmach krajowych i zagranicznych, otworzyli przy ul. Wiktoryi nr. 9 pod firmą K. Greger et Co. skład aparatów i przyborów fotograficznych. Magazyn swój, który jest jedynym specyalnym składem polskim tego rodzaju w naszem mieście, zaopatrzyli właściciele w wielki wybór aparatów i przyborów fotograficznych, tylko z fabryk pierwszorzędnych i konstrukcyi najnowszej. Rodakom naszym, którzy po cenach przystępnych przyjmują wszelkie zamówienia, jak wywoływanie, kopijowanie, powiększanie i inne prace, wchodzące w zakres fotografii, zwracamy uwagę na ogłoszenie.

— **Rodak nasz p. Kazimierz Semrau** otworzył w Poznaniu przy ul. Wrocławskiej nr. 2. specyalny skład masła, sera i łakoci. Na młode to przedsiębiorstwo zwracamy uwagę czytelników, tem więcej, że właściciel posiada wszechstronną rutynę zawodową i daje tem samem rękojmię, że sprosta wszelkim wymaganiom nowoczesnym.

— **Ustawiczne** rozprawianie o swej znajomości fachowej stało się z biegiem lat **nałogiem,** coraz to więcej pomiędzy handlarzami win rozpowszechniającym się. — Mianowicie wina górnowęgierskie ze swemi rozmaitemi gatunkami, rocznikami i odcieniami wzywają i prowokują powołanych i niepowołanych znawców i „fachowców“ do udzielania swych arcymądrych rad i pouczań, tak dalece, że konsumująca wino ludzkość, szukając ku spędzeniu swych trosk i kłopotów w szklance wina rozweselenia serca i ducha, musi przeciskać się przez całe stosy sprawozdań i prospektów ze strony swych dostawców; musi cierpliwie czytać nie tylko historyczne poglądy i wyroki na lata ubiegłe, ale nawet brać sobie do serca proroctwa tyczące promieni słonecznych, które padać mają na winną jagodę dopiero w roku przyszłym — zanim nareszcie dostąpi zaszczytu wypicia kieliszka wina! A w takim razie wino zamiast spędzać dawne troski, sprawia nowe kłopoty. — Co tu bowiem teraz wypić? czy rocznik 1904? albo 1906? albo wreszcie 1907? — lub może poczekać dopóki młodsze roczniki, albo te, które dopiero obrodzić się mają, staną się możliwe do oceny i użytku? Co tymczasem począć? Prawdziwie sumienny konsument i lubownik wina węgierskiego staje tutaj bezradnie na rozdrożu. A więc precz z tak zwanemi fachowemi mądrościami, pozostawmy je tym winiarzom, którzy w swym zawodzie oddawna pracują, a przedewszystkiem odsuwajmy te nauki zdala od niewinnego użytku skłopotanej walką codzienną o swój byt ludzkości.

Nie obarczajmy naszycyh zacnych konsumentów doktrynami i teoryami, lecz dajmy im za to zdrowe, czyste, smaczne, umysł i serce orzeźwiające wino węgierskie!

Do nabycia u firmy A. Piltzner w Poznaniu przy Starym Rynku (ulica Wiankowa). (Zwraca się uwagę na inserat).

Uczniom Szkoły agronomicznej w Szamotułach zwracamy baczną uwagę na anons **„Pensyonat.“**

— **Cennik nasion.** Pan Telesfor Otmianowski, właściciel handlu nasion przy ulicy Wrocławskiej, wydał nowy cennik nasion okopowych, warzywnych, polnych i leśnych. Cennik jest bardzo obszerny i przejrzyście ułożony, a przekonać może każdego, iż firma ta śmiało iść może z konkurencyą w zawody.

— **„Przemysłowca“** wyszedł numer 8-my i zawiera następującą treść: — Komu przysługuje prawo utrzymywania uczniów? — Organizacye zawodowe robotników i rzemieślnicy. — Statystyka rzemiosła naszego. — Głosy naszych Czytelników. — Niesłowność. — Sposoby wykierowania się ucznia handlowego na doskonałego pomocnika. Odczyt wygłoszony w Towarzystwie Uczniów Handlowych w Poznaniu. — Wywóz skór niewyprawnych zagranicę. — Dział zawodowy: Bejca matowa do mosiądzu. Farbowanie perłowej masy. — Wanna z ogrzewaniem spirytusowem. Kształt nitów. — Do naszych Czytelników. — Kronika miejscowa i zamiejscowa. — Od Administracyi. — Odpowiedzi Redakcyi. — Kalendarz zebrań. — Bajeczka o kominiarczyku.

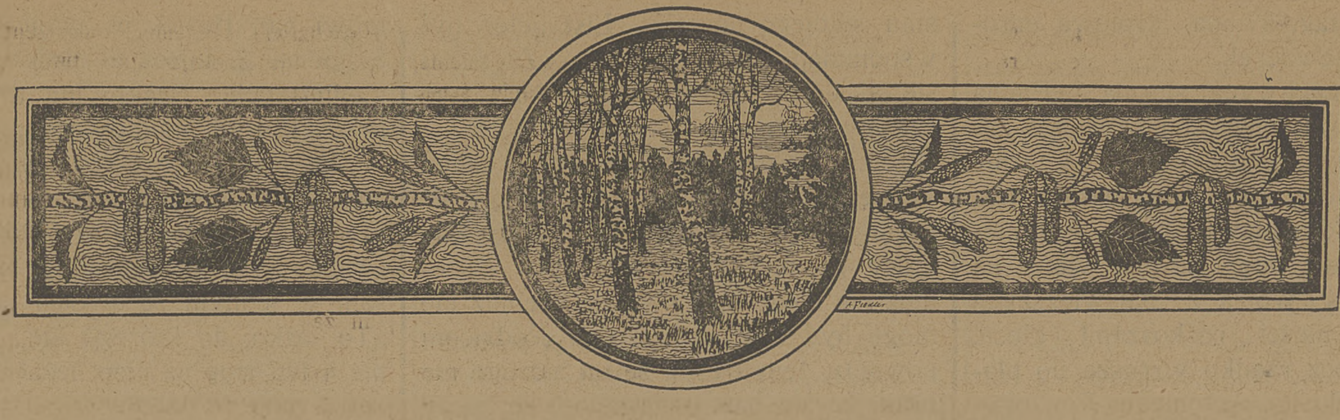
— **Opowieści Hoffmanna.** Opera fantastyczna w 3-ch aktach z prologiem i epilogiem. Opracowała St. M. Poznań 1910. Nakład: księgarni Marjana Niemierkiewicza. Broszurka polecenia godna dla osób chcących się zapoznać z treścią opery. Zawiera życiorys Offenbacha, Hoffmanna i treść libretta.

Skutkiem ciągłej zwyżki cen wyrobów w każdej dziedzinie życia gospodarczego, a zwłaszcza w dziale wytwórczości masła, gospodynie oszczędne coraz bardziej używają artykułów spożywczych, zastępujących masło.

Wśród ostatnich miejsce zaszczytne zajmuje przedewszystkiem margaryna, która dla swej beznagannej jakości składników, już oddawna zjednała sobie uznanie powszechne.

Niezbyt dawno zjawił się w obiegu handlowym nowy gatunek margaryny, t. zw. masło roślinne, które również w krótkim czasie stało się ulubionym przez gospodynie artykułem spożywczem, zastępującym masło.

Zwłaszcza tegoż dwa nadzwyczaj szybko rozpowszechnione fabrykaty van den Berg'ha „Palmkrone“ i „Palmstolz“ mogą zastąpić najwyborniejsze masło naturalne, gdyż posiadają jego właściwości, tudzież smak delikatny, przypominający orzechy, oraz woń aromatyczną. — Ponieważ gatunki wymienione w samej rzeczy wykazują nadzwyczajne podobieństwo do masła pod względem jakości i wyglądu, przeto na mocy brzmienia jednego z paragrafów prawnych muszą być oznaczone nazwą margaryny — co właśnie jest dowodem wymownym ich doskonałości.



Fryderyk Szopen.

(Ciąg dalszy).

Po powrocie do Warszawy, Szopen był rozrywany, kazdy wieczór spędzał gdzieindziej, musiał grać, — a czynił to chętnie, spotykając się wszędzie z bezkrytycznem niemal uwielbieniem. Nie ustawał mimo to w pracy kompozytorskiej i pilnie uczęszczał na wszelkie popisy i koncerty do konserwatoryum, w którem wciąż dyrektorem był jego ukochany Elsner.

Na tych koncertach poznał w kwietniu 1826 r. pannę Konstancyę Gładkowską, najzdolniejszą uczennicę w klasie śpiewu. Była to prześliczna blondynka o ciemnych oczach i czarującym głosie. Śpiewając, w zachwyt wprawiała audytoryum. I kiedy sala wrzała od oklasków i krzyków uznania — Szopen stał ukryty w kącie, — z oczyma utkwionemi w piękną pannę, jak w niebiańskie zjawisko. Zakochał się w niej na zabój, ale nie miał odwagi wyznać jej swych uczuć. Ona stała się odtąd jego natchnieniem, — o niej myślał, gdy pisał swoje śliczne „Adagio“ z koncertu „E-moll.“ Tegoż roku w końcu lipca w towarzystwie kilku kolegów, wybrał się do Wiednia.

Wiedeń zachwycił Szopena, zwłaszcza, że skoro tylko przedstawił się kilku muzycznym znakomitościom w mieście i zagrał przed nimi na fortepianie, zaraz poczęto go namawiać, aby urządził koncert. Szopen oszołomiony był tem nieoczekiwanem powodzeniem. Wystąpił też dwa razy, dnia 11-go i 18-go sierpnia, z ogromnem powodzeniem. Sam pisał, że „Rondem“ ujął sobie wszystkich muzyków z profesyi.

Z Wiednia pojechał Szopen do Pragi czeskiej, gdzie zabawił parę dni, zwiedzając miasto i z całą swobodą młodzieńczego umysłu oddając się wrażeniom coraz nowym. Ztąd pojechał do Drezna i do saskiej Szwajcaryi, wreszcie 18-go września powrócił do Warszawy, do domu rodziców.

W Warszawie odżyły znowu z całą siłą młodzieńcze zapały dla panny Konstancyi Gładkowskiej. Nowe zbliżenie się do niej, zbudziło dawne nastroje duszy, — Szopen miejsca sobie znaleźć nie mógł, był smutny i przygnębiony, — trawiła go nieznośna tęsknota. — Pod wpływem tych uczuć skomponował walca, o którym pisał do Wojciechowskiego: „Mam mój ideał, któremu wiernie od roku służę, który mi się śni po nocach, na którego pamiątkę skomponowałem „Adagio“ do mojego „koncertu,“ który mi inspirował tego „Walca“ dziś rano, co ci posyłam. Uważaj jedno miejsce krzyżykiem oznaczone. O tem nikt nie wie, prócz ciebie. Jakżeby mi było słodko zagrać ci, go, najdroższy Tytusie.“

Co piątek bywał na wieczorkach muzykalnych u Kesslera, na których grywano kwartety, tria i t. d. Na tych wieczorkach bywała także panna Konstancya, — nie dziw, że Szopen gorliwie na nie uczęszczał.

W tym czasie wyjechał Szopen w Poznańskie, do domu Radziwiłłów, gdzie przepędził cały tydzień; tu napisał „Alla Polacca“ z wiolonczelą i parę „Etudów.“ Szczególniej podobała mu się księżniczka Eliza, z którą też spędził cały czas pobytu w Antoninie, muzykując. Swego poloneza „F-moll“ musiał jej codzień przygrywać.

Po powrocie do Warszawy dał Szopen w sali teatru narodowego dwa koncerty 17-go i 22-go marca 1830 r. Powodzenie ich było nadzwyczajne. Na pierwszym grał Szopen swój „koncert f-moll“ i „Potpouri“ z pieśni polskich, na drugim swój „koncert“ i „Rondo à la Krakowiak,“ — wreszcie improwizował na temat pieśni ludowej: „W mieście dziwne obyczaje.“ Pod względem dochodu obadwa koncerty powiodły się znakomicie, albowiem przyniosły 8,000 złp. czystego dochodu. Sława Szopena rosła z dniem każdym, dzienniki przepełnione były jego nazwiskiem, anegdotami z jego życia, sprawozdaniami z jego tryumfów koncertowych, z jego prac wykończonych, zaczętych i zamierzonych. Z początku cieszył się tem Szopen, później gniewało go to i nudziło. Za cczą była ta sława dla jego natury wrażliwej, czułej, delikatnej, pełnej rozmarzenia, tęsknot i dziwnego niepokoju.

W tym czasie przystąpił do komponowania „Koncertu E.-moll,“ mając ciągle na myśli, aby się ta kompozycya podobała pannie Gładkowskiej. Jej zdanie cenił nad zdanie wszystkich znawców i swoich wielbicieli. Pisząc o nowej swej pracy kompozytorskiej do Wojciechowskiego, który był powiernikiem jego sercowych tajemnic, tak się wyrażał: „Adagio“ jest w tonie „E-dur,“ charakter jego romansowy, spokojny, melancholiczny; powinno to czynić wrażenie miłego spojrzenia w miejsce, gdzie stawa tysiąc lubych przypomnień na myśli. Jest to jakieś dumanie podczas pięknej wiosennej nocy, oświetlonej księżycem. Dlatego też akompaniament skrzypcowy jest z sordynkami. Może to będzie źle, ale czemu się wstydzić źle pisać mimo swej wiedzy? Skutek dopiero błąd okaże. W tem zapewne miarkujesz właściwość moją do czynienia źle pomimo woli. Tak też pomimo woli wiazło mi coś do serca i ciśnie, chociaż się tem lubuję i pieszczę — Może to źle?“

Tymczasem w Warszawie wrzało życie. Teatry, bale, koncerty następowały szybko po sobie. Ozdobą tego sezonu była sławna wówczas Hen-

rietta Sonntag, zwana królową europejskich śpiewaczek.

Szopen zachwycał się nią. „Panna Sonntag, pisał, nie jest piękną, ale miłą do najwyższego stopnia. Czaruje swoim głosem, który nie bardzo jest wielkim, ale nadzwyczajnie wyrobionym. Zdaje ci się, że ona wionie na parter jakąś wonią z najświeższych kwiatów i pieści rozkoszami głosu, głaszcze, lecz rzadko wzrusza do płaczu.“ Dzięki ks. Antoniemu Radziwiłłowi, poznał ją Szopen osobiście, bywał często u niej, a najlepiej lubił ją odwiedzać w takich godzinach, kiedy dla innych była niewidzialną, gdyż jak pisał, „w rannym negliżu była milion razy ładniejszą i przyjemniejszą, niż w sukni balowej wieczór, chociaż i ci, co jej rano nie widzieli, przepadają za nią.“

W jesieni tegoż roku, panna Konstancya przygotowała się do debiutu na scenie teatru narodowego w operze Pàëra „Agnes“, — a kiedy wreszcie wystąpiła, Szopen był z występu tego zupełnie „zadowolony.“ Publiczność przyjęła pannę Gładkowską entuzyastycznie. Odtąd nie opuszczał Szopen żadnego przedstawienia i płonął coraz gorętszem uczuciem ku prześlicznej pannie Konstancyi, zwłaszcza, że miłość jej podniecała wzajemność. Kochał i był kochany. Szopen czuł się szczęśliwym, najszczęśliwszym z ludzi. Wobec tego niepodobna mu było wyjechać z Warszawy, choć wyjazd za granicę dawno już był w projekcie. Z tygodnia na tydzień odkładał swój wyjazd.

Kiedy ukończył „Rondo“ swojego drugiego „Koncertu,“ zdecydował się zagrać go publicznie w teatrze. Koncert miał olbrzymie powodzenie. Po koncercie miał zaraz wyjechać, ale nie mógł oderwać się od ukochanej. Wreszcie zdobył się na odwagę... Pożegnał Konstancyę, która na drogę dała mu pierścionek; z tym pierścionkiem do zgonu nie rozstał się Szopen. Na pożegnanie wyprawiono ucztę, podczas której wręczono Szopenowi puhar srebrny, napełniony ziemią ojczystą. Szopen rozpłakał się ze wzruszenia.

Dnia 2-go listopada 1830 roku błogosławiony przez rodziców, żegnany uściskami sióstr, Szopen opuścił Warszawę. Za rogatką na Woli, chór jego kolegów odśpiewał rzewną kantatę Dmuszewskiego w tym celu ułożoną. Spłakali się wszyscy serdecznie, — a Szopen ruszył w świat daleki.

W drugie święto Bożego Narodzenia pisał Szopen do Matuszyńskiego, kreśląc mu z wylaniem i serdecznością stan swojego umysłu. List pełen był wspomnień o Konstancyi. Zaczynał się od słów: „Przyszłego roku o tym czasie byłem u Bernardynów z nią razem. Dzisiaj w szlafroku sam jeden siedzę, pierścionek gryzę i piszę.“ W liście skarżył się Szopen na niepokój, który go nieustannie dręczył. „Czemuż nie mogę być z wami, czemuż nie mogę być choć doboszem. Rodzicom powiedz, żem wesół, że mi niczego nie brak, że się bawię paradnie, że nigdy sam nie jestem. Jej to samo powiedz, jeżeli będzie drwiła. Jeżeli zaś nie, to



Pomnik Szopena w parku Monceau w Paryżu.

jej powiedz, żeby była spokojna, że się wszędzie nudzę. Słaby jestem — nie piszę tego rodzicom. Każdy mnie się pyta, co mi jest? Humoru nie mam...“

Do tego smutnego nastroju przyczyniało się to, że wszędzie, kędy się Szopen obrócił, słyszał głosy nieprzychylne Polakom, a oprócz tego spotykał się z niechęcią i intrygami wiedeńskich fortepianistów, których niepokoiła sława i powodzenie Szopena. Temu należało przypisać, że napotykał na ogromne trudności w urządzeniu koncertu. Wprawdzie 4-go kwietnia wziął udział w koncercie śpiewaczki Garcia-Vestris, na którym grał swój nowy koncert E-moll, wprawdzie zachwycił nim słuchaczów i krytykę — mimo to nie mógł się zdobyć na koncert własny.

W tym stanie rzeczy niepodobna było myśleć o koncercie. Szopen szamocząc się w tęsknotach i niepokojach, dosiedział do lipca w Wiedniu, poczem wyjechał do Monachium i Stuttgardu.

W tym nastroju, pełnym smutku, rozpaczy i przygnębienia, powstało tragiczne Preludyum nr. 24, jedno, jak mówi pan Hösick w swojej biografii Szopena, z najrozpaczliwszych i najgenialszych. Brakło mu towarzysza, przed którym mógłby się poskarżyć i wypłakać. Dzień, jak dzień, przetrwał jeszcze, włócząc się po ulicach i restauracyach, ale noce były okropne. Uczucia, jakie go ogarniały, tak opisuje sam w jednym ze swoich zapisków: „To łóżko, do którego idę... może już nie jeden trup na niem leżał i długo leżał, a mnie to dziś nie robi wstrętu. A cóż trup gorszego odemnie? Trup także nic nie wie o ojcu, o matce, o siostrach, o Tytusie; trup także nie ma kochanki, nie umie rozmówić się z otaczającymi swoim językiem; trup taki blady, jak ja, trup taki zimny, jak ja, teraz na wszystko zimnym się czuję. Zegary z wież Stuttgardu biją nocną godzinę. Ileż w tej chwili trupów się na świecie porobiło? Matki dzieciom, dzieci matkom poginęły. Czemuż żyjemy takiem nędznem życiem, które nas pożera? Co komu przyjdzie z mojego bytu? Nie zdam się do ludzi, bo nie mam pysków ni łydek. A trup ma łydki? Trup także nie ma łydek, więc mi niczego nie brak do matematycznego pobratania się ze śmiercią. Czy ona mnie kochała, czy też udawała? To sęk do odgadnienia. Tak, nie tak, palec w palec. Kocha mnie? Kocha mnie pewno, niech robi co chce... Ależ łzy? Tak dawno nie płynęły: och długo, długo płakać nie mogłem! Jakże mi dobrze, jak tęskno! Dobrze i tęskno? Kiedy tęskno, to niedobrze, a jednak miło. Jest to stan dziwny, a i trup tak — dobrze mu i nie dobrze razem. Przenosi się w szczęśliwsze życie i dobrze mu, żałuje przeszłe opuszczać i tęskno mu. Jemu musi być tak, jak mnie, kiedym skończył płakać.

„Było to widać jakieś skonanie momentalne uczuć moich, umarłem dla serca na moment, albo raczej serce umarło dla mnie na moment! Och czemuż nie na zawsze, możeby mi znośniej było. Sam, sam! Nie da się moja biedota opisać — ledwie ją czucie znieść zdoła.“

Z tego nastroju powstało „Preludyum nr. 2.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na tchórza najsrożej napadają tchórze, na złodzieja złodzieje, z waryata najgłośniej śmieją się drudzy waryaci. A człowiek rozumny i odważny w mowach pobłażający jest.

Adam Mickiewicz.

Duma połączona z pokorą stanowi wielkość człowieka, — duma bez pokory to próżność.

Zygmunt Krasiński.

Zapomniany lud polski.

Napisał
G. SMÓLSKI.

(Ciąg dalszy).

W mieście *Preszowie* (Eperies), leżącem w sąsiedniem żupaństwie szaryskiem doznaje się podobnego wrażenia. W żupaństwie tem, prócz madziaryzacyi z urzędu, narażony jest żywioł polski na podwójne wynarodawianie ze strony sąsiadów pobratymców, mianowicie ze strony Słowaków i ze strony Rusinów zarazem. Kościół rzymsko-katolicki słowaczy ludność polską, zaś grecko-katolicki ruszczy ją znowu.

Liczba czysto polskiej ludności w Szaryskiem wynosi podług źródeł czesko-słowackich około 10.000 dusz, w rzeczywistości jest ona daleko większą. Znaczna część tego żupaństwa należała dawniej do Spiża względnie do Polski.

Warto zapoznać się nieco z gwarą *„Słowaków“*, których do polskiej ludności nie zaliczam. Oto:

Wołki moje, wołki, w czas ja was wihnała,
Wi sze nie napaśli, ja sze nie wispała,
Wi sze nie napaśli na jelenich łuczkach,
Ja sze wispała w szukajowich ruczkach.

Ej korzice, korzice,
Murowane piwnice;
Jest tam dziwcze rumene,
Za sto złatich stawene.

Kiebi mi ju chceli dac,
Poszełbi ja ju pitac,
Dałbi som sze na wimenu,
Wżułbi som ju za żenu.

A mój ocec hutori,
Ze mi nie da powoli,
Ze mi kupi złote pero,
Ze mie poszli do szkoli
Ja do szkoli nie pojdzem,
Ja sze uczić nie budzem
Radniej szednem na koniku,
Za husara pojdzem.

Poniże Lewoczi tam sze woda toczi;
Kto niema frajirki niechaj do niej skoczi.
Jak błazen bi ja buł, do tej wodi skakać
Pre jedno ladaco drobne ribki łapać.

Nie chodz do nas, nie chodz, bo ja ce nie pitam,
Badze do nas chodzic z Preszowa kapitan;
Z Preszowa kapitan, z Koszic straża meszter,
Nie chodz do nas, nie chodz, bo ja ce już nie chcem.



Szalas na Liptadzie.

Dr. Czambel, najznakomitszy językoznawca słowacki, pisze o wschodnio-słowackich narzeczach: „Nie można wątpić o tem, że zachodnia część ziem aż za rzekę Toplę *należy do szczepu polskiego* t. j. że *pierwsze zaludnienie tych ziem było polskie.* Na to wskazują też prawa głosowni teraźniejszych wschodnio-słowackich narzeczy, które w swej podstawie są polskie. Uzasadnia też to w sposób wyczerpujący pod względem gramatycznym.

Czech dr. Pastrnak pisze: „Tembardziej zasługuje na uwagę okoliczność, iż pomiędzy kompleksami słowackiego języka a polskiego istnieje w całym szeregu faktów wspólność, przyczem jeszcze zachodzi znaczna różnica pomiędzy zachodem a wschodem. Rozdział tworzą Tatry, wystrzeliwające z łuku Karpat w kierunku południowym. Część wschodnia, mianowicie żupaństwa: Spiż, Szaryż, Ziemlin wykazują pod względem głosowni następujące znamienne zjawiska: *tert,* zamiast *trt, c* i *dz* zamiast miękkiego *t* i *d,* zmiękczenie głosek *s* i *ż (ś i ź),* ze stratą ilości, akcent na przedostatniej zgłosce... Daleko pewniej natomiast okazuje się wpływ polski w narzeczowych próbach żupaństwa giemerskiego, chociaż tu rzecz zdaje się



Dziewczyna słowacka z komitatu zwoleńskiego.

posiadać inne znamię, aniżeli na terytoryum wschodniem. W próbach narzeczowych giemerskich występuje brzmienie *cz i dź* zamiast miękkiego *t i d.* W Drienczanach, w południowej części tego żupaństwa słyszymy nawet drugorzędne brzmienie nosowe i inne znamiona. W szczególności dowodzi gwara w Pogoreli, że to *polskie osady.* Podług B. Niemcowej (czesk. pisarki) przychodzi nawet w gwarze miasta Zwolenia i na południu żupaństwa zwoleńskiego *c i dz* zamiast miękkiego *t i d.* Na zachodzie słabnie wpływ polszczyzny. W północnej części Orawy jeszcze teraz mówią czysto po polsku, także północne okolice żupaństwa trenczyńskiego posiadają gwarę, która bliższą jest polszczyznie aniżeli słowaczyźnie. W południowo-zachodniej części trenczyńskiego żupaństwa, w żupaństwie nitrzańskiem i preszburskiem znajdują się także ślady pojedyńcze polszczyzny, mianowicie *c i cz.*

Dr. Pastrnak sądzi, iż ta polszczyzna w gwarach słowackich jest wynikiem polskiego wpływu, czemu dr. Czambel stanowczo zaprzecza wskazując na Spiż, który przez 360 lat należał do Polski, gdzie jednak Polacy żadnego wpływu nie wywarli, gdyż spiskie miasta niemieckie pozostały niemieckiemi, jak były mimo długich polskich rządów. Ma też zupełną słuszność. Dowodów pierwotnego polskiego zaludnienia Słowaczyzny jest poddostatkiem. Wystarczy wskazać na spiskie Zamagusze, które od początku XI w. odłączone zostało od Polski, gdzie obok Górnej Orawy utrzymał się żywioł polski najczyściej.

W żupaństwie *ziemlińskiem i ungskiem* panuje wielkie zamieszanie językowe i wogóle pod tym względem bardzo niejasne stosunki. To, co wiemy o tamtejszej polskiej ludności — a wiemy bardzo mało — zawdzięczamy jedynie źródłom słowackim, o których można śmiało powiedzieć, iż uznają na Słowaczyźnie to tylko jako polskie, co jako takie absolutnie uznać nie można.

Podług tych źródeł znajduje się na ziemi ziemlińskiej — *w żupaństwie ungskiem* brak wszelkich szczegółów a obcy uczeni li stwierdzają, że tam mieszkają także stale osiadli Polacy — 10 osad polskich z ludnością okrągło 6000, co atoli w rzeczywistości nie odpowiada nawet w przybliżeniu prawdziwej liczbie. Z podanych przez dr. Czambela prób gwarowych *„wychodno-slowenskeho podriecza zemplińsko-ungskiko“* wynika, iż posiada ono wybitne właściwości polszczyzny tak, iż niektóre miejscowości jak Dłuhe na Ciroche posiadają gwarę, która najzupełniej więcej jest polską, niż słowacką. Żupaństwa te można śmiało nazwać wieżą babilońską narzeczową. Tu prawie każda większa osada ma swoją właściwą gwarę. Podobnie ma się rzeć z ruskiemi gwarami tych żupaństw. Dla ludu przedstawia się

małoruski język piśmienny, tak zwany ukraiński wręcz jako niezrozumiały. Wskutek tego część inteligencyi miejscowej tych ziem domaga się, by pisano dla ludu w jego narzeczu miejscowem. W północnej Ameryce wychodzi nawet tygodnik pisany w ruskiem narzeczu ziemlińsko-ungskiem.

Wspomniany powyżej polski anonim J. Z. uważa wszystkie te gwary rzekomo „słowackie“ i „ruskie“ jako pierwotne polskie narzecza. Dr. Czambel przychyla się pośrednio do tego zapatrywania pisząc, iż nie może być, „żeby Polacy mogli przemieniać mowę wschodnich Słowaków, na których nie mieli wpływu ani politycznego, ani kościelnego, ani społecznego.“ „Polskiemi osadami“ — konkluduje — „zostały te osady, które już przedtem były polskie.“

Czesi uważają gwary słowackie, mimo ich przeważnie polskiej głosowni i słownikarskiego najbliższego powinowactwa z polszczyzną za swoje. Sprzeciwia się temu stanowczo dr. Czambel, przecząc wspólności narodowej Słowaków z Czechami. Wskazuje on, iż Słowacy, których kościół i pisarze szerzyli przez 500 lat czeszczyznę, uczuli po półtysiącleciu potrzebę stworzenia dla siebie osobnego języka piśmiennego, by mogli zrozumieć książki. Czy byłoby to możebnem — pyta się — gdyby Słowacy byli istotnie synami plemienia czeskiego, żeby po tak długiem i usilnem czeszczeniu nie rozumieli książek czeskich, książek w języku swoiego własnego plemienia?

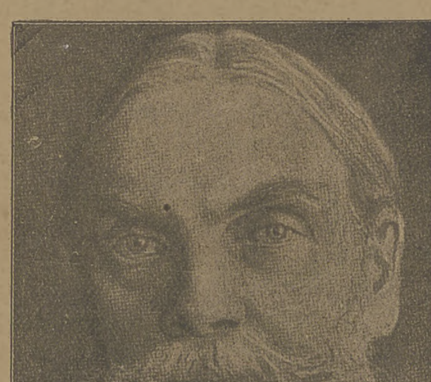
Trudno odmówić słuszności tej argumentacyi. Jeśli pięćsetletnie czeszczenie nie zdołało zmódz językowych różnic, zachodzących pomiędzy słowaczyzną a czeszczyzną, to sama z siebie nasuwa się konkluzya, iż Czesi a Słowacy nie są synami jednego plemienia. Wymieniony powyżej uczony słowacki pisze uzupełniająco: „U nas rozumieją książki czeskie ci, którzy uczyli się po czesku lub którzy dużo czytali po czesku, inni zaś ich nie rozumieją. Wychodząc z takiego pojmowania rzeczy, zbierałem od swej młodości materyały językowe, odnoszące się do Słowaczyzny, szczególnie stare zabytki gwarowe. Przyszedłem do przekonania, że za dawnych wieków Słowacy mogli tylko z południa dostać się na teraźniejsze swoje ziemie i że *tam już zastali słowackich mieszkańców polskiego plemienia, z którymi się zmieszali*“, do czego dodaje uzupełniająco „Twierdzenie swoje, iż na *ziemu* (terytoryum) wschodnio-słowackiem byli pierwotnie Polacy, popieram także tym objawem w gwarach wschodnio-słowackich, że ich głosownia posiada podstawę polską *(dzecko* zamiast *decko, robić* zamiast *robit, sieno* zamiast *seno, ziem* zamiast *zem;* nie wystarczanie samogłoskowego *l i r; polny* zamiast *plny, sełza* zamiast *slza, sierść* zamiast *srst, sarna* zamiast *srna* itp. Porządek głosek *lert* przeciw *trt,* jest polski“, kończąc tem, iż na stosunki gwarowe na Słowaczyźnie „nie należy patrzeć przez czeskie okulary.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z bieżącej chwili.

Hr. Schwerin-Löwitz,

nowy prezydent parlamentu niemieckiego po śmierci hr. Stolberga-Wernigerode, jest konserwatystą i zastępuje w parlamencie pierwszy okręg wyborczy szczeciński. Hr. Schwerin-Löwitz jest w szerokich kołach niemieckich znanym jako znakomity agronom, który między innemi prezyduje w niemieckiej Radzie rolniczej.



Hr. Schwerin-Löwitz.



Tłumy Berlińczyków opuszczają cyrk Buscha.

* * *

Berlińskie demonstracye

urządzane przez tamtejszych socyalistów przeciw znanemu projektowi do prawa wyborczego do sejmu pruskiego, wniesionemu przez rząd pruski, są na porządku dziennym. W ubiegłą niedzielę „przechadzka“ socyalistów berlińskich nie mogła się odbyć w parku treptowskim z powodu zamknięcia go przez policyę. Wobec tego zgromadziło się około 150.000 osób w Tiergartenie. Tu rozwinięto czerwoną chorągiew, śpiewano socyalistyczne pieśni. Mimo usiłowań policyi tu i owdzie przemawiali mówcy. Jeden wygłosił przemowę z terasy parlamentu.

Około 7 wieczorem przyszło w pobliżu zamku królewskiego do starcia z policyą.

Według sprawozdania policyjnego raniono 10, aresztowano 62 osoby.

W ostatnim czasie odbyło się w Berlinie wielkie zebranie w cyrku Buscha, na którem zaprotestowano energicznie przeciw projektowi do prawa wyborczego do sejmu pruskiego, wniesionemu przez rząd pruski. Nasza rycina obrazuje chwilę, w której tłumy Berlińczyków opuszczają po zebraniu cyrk wzmiankowany.

* * *

Grecka rodzina królewska

przeżywa obecnie ciężkie dni. Rozruchy wojska w kraju zmusiły książąt panującego domu królewskiego do złożenia szarż wojskowych i opuszczenia

Grecka rodzina królewska.



Jerzy, król grecki. **Olga, królowa grecka.** **Książę grecki Mikołaj.** **Książę Konstantyn, następca tronu greckiego.** **Książę grecki Andrzej.** **Książę grecki Krzysztof.**

Aten. Niedawno d nosiły gazety, że król zamierzał swych synów: księcia następcę tronu Konstantyna i książąt Jerzego, Mikołaja, Andrzeja i Krzysztofa powołać do siebie celem utworzenia rady familijnej. Książęta rzeczywiście postanowili wrócić do Aten, atoli rewolucyoniści unicestwili ich powrót do stolicy.

* * *

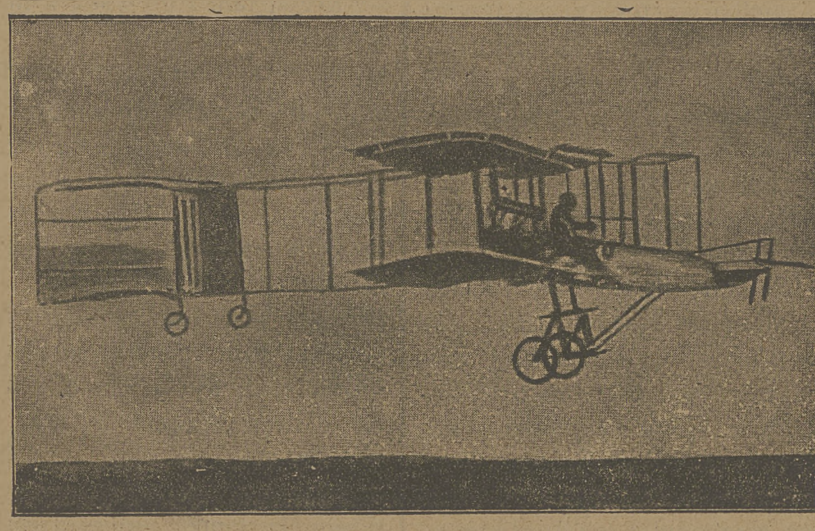
Aresztowanie przebiegłej Niemki.

W zeszłym tygodniu przyaresztowano w Charlottenburgu głośną swego czasu panią majorową v. Schoenebeck i to na rozkaz prokuratoryi w Olsztynie na Warmii. Jak wiadomo, przed dwoma laty zastrzelił w Olszty-



Pani Schoenebeck

nie kapitan Goeben majora Schoenebecka. Istniało silne podejrzenie, że pani majorowa utrzymywała z kapitanem bliższy stosunek i że za jej namową zgładzony został jej mąż ze świata. Podejrzenia tego nie zdołano udowodnić i dla tego panią Schoenebeckową wypuszczono z więzienia śledczego, ponieważ robiła wrażenie umysłowo chorej, i umieszczono ją w sanatoryum. Nie pozostała tam jednak długo, poczem zamieszkała w Charlottenburgu i wyszła za mąż za literata Webera. Wobec tego prokuratorya olsztyńska podjęła dalsze kroki przeciwko przebiegłej kobiecie, celem wytoczenia jej postępowania karnego z powodu współudziału w zabiciu pierwszego męża i nakazała ją aresztować. Ciekawa rzecz, jaki będzie wynik procesu. Jak wiadomo, kapitan Goeben, który zastrzelił majora Schoenebecka, popełnił samobójstwo w więzieniu śledczem.



Aeroplan Farmana.

Obrońca pani Schönebeckowej, radca Wronker, stawił wniosek o wypuszczenie jej na wolność za złożeniem 100 tys. mrk. kaucyi. Obrona czyni także zabiegi, aby przedstawić Schönebeckową jako ciężko chorą. Nauka Eulenburga nie poszła w las.

* * *

Rekord Farmana.

Z Paryża donoszą: Znany awiator Farman wzniósł się dnia 5-go b. m. w powietrze na aeroplanie swego systemu, z dwoma towarzyszami i dokonał wspaniałego lotu, trwającego godzinę i dwie minuty, pobiwszy wszelkie rekordy poprzednie pod względem lotów z podróżnymi. W przeciągu ostatnich 20 minut lotu awiator musiał walczyć z silnym wiatrem, lecz przezwyciężył wszelkie trudności i wylądował szczęśliwie.

Prawie jednocześnie donoszą z Paryża o następującem nieszczęściu:

Podczas wzlotów aeroplanem w Pau w dniu 8-ym b. m. spadł aeronauta White z nieznacznej wysokości i pokaleczył sobie twarz. Aeroplan uległ zupełnemu zburzeniu.

Jak małoznaczące, pojedyńcze kroki połączone razem, tworzą ogromne przestrzenie, tak drobne oszczędności pojedyńczych kraji obywateli, zasilają szybko i potęgują szybko zbiorowy zasób narodu.

Józef Supiński.

Wykłady popularne.

VI. A.

Jakiemi czynami Polska najwięcej pochlubić się może?

Polityka państwa polskiego wyróżniała się po wszystkie czasy w przeciwstawieniu do polityki grabieży i okrucieństwa państw innych tem, że kierowała się zawsze wyrozumieniem, łagodnością i życzliwością. Wojen zaborczych nie prowadziła Polska wcale, a chwytała za oręż tylko wtedy, gdy była przez chciwych zaboru i łupiestwa sąsiadów do tego zmuszona. Podczas gdy w innych krajach zaprowadzenie wiary chrześciańskiej odbywało się w krwawy sposób, w Polsce czynu tego dokonano spokojnie, bez gwałtu i krwi rozlewu. Odpowiadało to zupełnie łagodnej naturze słowiańskiej, nie lubującej się w okrucieństwach i bezprawiach. Z Polski rozkrzewiła się wiara chrześciańska głównie pośród dwóch narodów, Pomorzan i Litwinów. Pierwszymi zajął się dzielny Bolesław III Krzywousty, który przy swoich wyprawach na Pomorze, ziemię słowiańską, położoną między Bałtykiem, Odrą i Notecią, a jako krainę nad morzem położoną dla Polski wielką wartość przedstawiającą, pomyślał też o tem, aby Słowianom tamtejszym przynieść światło wiary chrześciańskiej i cywilizacyi. Od r. 1124 do 1130 trwały jego ku temu skierowane zabiegi, aż w końcu udało mu się bez krwi rozlewu szczytny swój zamiar przeprowadzić w czyn i wielkiego dzieła nawrócenia Pomorza dokonać. Późniejsze zamieszki w Polsce nie dozwoliły niestety zachować krajowi tego dostępu do morza, w który Krzywousty zabiegi całego życia swego włożył, lecz odpadłszy od Polski dostało się Pomorze w ręce Niemców i tak szybkiej ulegało germanizacyi, a potem i protestantyzacyi, że dziś już tylko ślady słowiańskie w Pomorzu napotykamy w nazwach miejscowości. Podobny przykład politycznego działania, prowadzonego z równie niezłomną konsekwencyą, jak nawrócenie Pomorza, widzimy później w dziejach naszych we wspaniałej, odradzającej państwo polskie pracy Kazimierza Wielkiego, który przez uregulowanie sądownictwa (statut Wiślicki) i rozszerzanie oświaty (założenie jednego z pierwszych uniwersytetów w Europie, akademii krakowskiej w r. 1364 i mnóstwa innych szkół) na nazwę jednego z największych naszych reformatorów sobie zasłużył. Nawrócenie Litwy, rozpoczęte w r. 1386, stanowi dalsze ogniwo w misyi i działalności cywilizatorskiej Polski na wschodzie. Sam fakt połączenia się dwóch wolnych, niezależnych państw i narodów ze sobą oraz współżycie wspólne przez kilka wieków na mocy dobrowolnych i niewymuszonych, serdecznością i wzajemną wyrozumiałością dyktowanych zobowiązań nie znajduje nic podobnego sobie w dziejach całego świata. „Korona polska i Wielkie Księstwo Litewskie — mówi przywilej Unii Lubelskiej z r. 1569 — jest jedno nierozdzielne i nieróżne ciało, a także nieróżne, ale jedna wspólna Rzeczpospolita, która się ze dwu państw w jeden lud zniosła i spoiła.“ Krew wspólnie przelana na polach grunwaldzkich uświęciła szybko ten związek, a dzielenie dalszej doli i niedoli aż do upadku kraju, a nawet w czasach porozbiorowych aż do obecnego ucisku rosyjskiego, pomagało w braterskim sojuszu dzielnie odpierać nam moskiewskie zamachy. Wszędzie, gdzie później czy to na śnieżnych polach dalekiego wschodu, czy na stepach czarnomorskich, pod Smoleńskiem, Wiedniem i Chocimem, lub też w czasie walk o niepodległość pod Grochowem i Ostrołęką polska lała się krew, tam i litewska z nią się mieszała i wawrzynami bojów polskich się dzieliła. Nadewszystko więc słynne pochody Stefana Batorego naprzeciw Moskwie, nie mogącej się nigdy z groźnym jej sojuszem polsko-litewskim pogodzić, do największych czynów naszych zaliczyć należy, nie z powodu świetnie prowadzonego boju i zwycięstw w nim odnoszonych, lecz z powodu iście chrześciańskiej polityki, którą pochody te nacechowane były nie dla zniszczenia wroga, lecz dla pogodzenia się z nim i pozyskania rozległego wschodu dla kultury europejskiej. Myślano nawet wtenczas w Polsce o tem, że Moskwę do porzucenia schizmy a przyjęcia katolicyzmu będzie można nakłonić, które to nadzieje jednak zawiodły i jedynie rzec można powstrzymywały Polskę od zupełnego podboju moskiewskich krajów, tak słabych wtenczas i łatwych do podbicia. Chwalebne zamiary Batorego jako i następcy jego Zygmunta III, pozyskania Moskwy dla sojuszu z Polską, zamiary, których przeprowadzenie niestety się nie powiodło, świadczą o wielkiej bezinteresowności polskiej polityki i pozostaną na zawsze jej chlubą. Inne niebezpieczeństwa, grożące krajowi od południa, zmusiły niebawem Polskę do porzucenia swoich projektów cywilizatorskich na wschodzie i do zwrócenia się przeciwko nawale mahometańskiej, grożącej zagładą nietylko nam, ale całej ówczesnej kulturze chrześciańsko-europejskiej. Boje, które Polska toczyła w w. 16 i 17 w interesie wiary i cywilizacyi z Turcyą i Tatarami, przyniosły jej słuszny przydomek „przedmurza chrześciaństwa.“ Krew obficie przelana na polach walki pod Warną, Cecorą, Lwowem i Chocimem świadczy najlepiej o męskiej waleczności naszych przodków, a udział w bitwie pod Wiedniem jest czynem tak szlachetnym, na jaki żaden kraj nigdy w dziejach swych się nie zdobył i jakim żaden inny naród poszczycić się może. Wdzięczności jednak Polska nigdy znikąd nie doznała, i właśnie z ręki tych doczekała się niebawem swej zguby, którym bezinteresownie się wysługiwała i których kraje, mając ich losy w swoich rękach swego czasu wspaniałomyślnie oszczędzała. Rosya i Austrya, odpłacając się pięknem za nadobne, niebawem zapomniały o dobrodziejstwach naszych, i razem z Prusami też Polsce byt swój zawdzięczającemi połączyły się na zagładę naszej ojczyzny. W czasie jednak i największego naszego upadku, gdy kraj z powodu ciemnoty z jednej, a samolubstwa, zdrady i sprzedajności z drugiej strony zbyt słabym był, aby przemagającą siłę wroga zwyciężyć, szlachetne czyny i dzieła reformatorów naszych jaśnieć będą jako drogowskazy na przyszłość i nadzieja i wiara w odrodzenie nasze. Powstanie Kościuszkowskie, powołujące lud do broni z jednej, a uchwały Sejmu czteroletniego, uwieńczone słynną po wszystkie czasy Konstytucyą 3-go maja, z drugiej strony ratowały honor Polski i są początkiem nowej ery w kraju. Król Stanisław Leszczyński, Stanisław Konarski, Stanisław Staszyc, Tadeusz Czacki, Tadeusz Rejtan i Tadeusz Kościuszko, oto kilka nazwisk tych działaczy z czasów ostatnich Polski niepodległej, którzy w najgorszych warunkach pracując, o przyszłości naszej nie zwątpili. Dając narodowi w ustawach majowych prawa takie, jakiemi pod względem politycznego rozumu i reformy w duchu nowoczesnym nawet najcywilizowańsze narody europejskie z wyjątkiem chyba Anglii i Francyi poszczycić się nie mogły, zapewnili oni nam możność odbudowania kraju na gruncie nowożytnym i naro-

dowym, prawdziwie demokratycznym, na którym „jak feniks, ów zagadkowy ptak starożytny, z popiołów“ kraj nasz kiedyś powstanie. Tego obawiają się też państwa ościenne i dla tego tłumią naszego ducha narodowego, lecz my pocieszmy się tem, że „upaść może naród i wielki, zginąć tylko nikczemny!“

Paryżanki i wiosna.

Paryż przysposabia się na wiosnę! Gdy słońce pierwsze swoje ciepłe promienia zsyła na ziemię i w lasku bulońskim żwir na „sentier de la Vertu“ ozłaca, wtedy zapominają ludzie o kłopotach, troskach, niedostatku i powodzi, i wyczekują z upragnieniem listków na pustych jeszcze i czarnych drzewach i krzewach. Kosztowne okrycia futrzane i kostyumy zimowe ustępują krótkim, zgrabnym „taillor“ robom, filcowe kapelusze i czapeczki zamieniają się na toczki słomkowe, a mufki na parasolki.

Krótka, wązka aleja, nie mająca nawet kilometra długości, a ciągnąca się wzdłuż avenue des Accacias, jest ulubionem miejscem przechadzki wytwornego świata. Od godziny jedenastej przed południem aż do wpół do pierwszej roi się tu od strojnie ubranych osób, które dzielą się właściwie na dwie klasy: jedna zajmuje miejsca na żelaznych, po obydwóch stronach ścieżki ustawionych i co rok świeżo pomalowanych krzesłach — druga przechadza się tu i tam i pragnie być widzianą i podziwianą przez siedzących. Są jeszcze i tacy, którzy przechadzają się tylko w niedzielę i udawają, że są tutaj codziennie — lecz chybiają celu, bo wytworna publiczność właśnie w niedzielę nie pojawia się tu wcale. W dni powszednie za to gromadzą się tu wszyscy, którzy się do towarzystwa paryskiego zaliczają, i w blaskach wiosennego słońca kwitną tu w najlepsze flirty, wzajemne krytyki i — ploteczki. Tutaj nawięzują się znajomości, serdeczne stosunki i przyczyny rozwodów — tu jaśnieje szyk, dowcip, uprzejmość, złośliwość i czasem nawet — cnota! Nigdzie więc tak, jak tutaj, nie można lepiej obserwować i podziwiać tego, co wiosna Paryżankom przynosi na polu mody! —

Zbytki bogatych są źródłem utrzymania biednych. Jakżeby mogły istnieć całe zastępy krawczek i szwaczek, pracujących w wielkich „ateliers“ paryskich, gdyby bogate Paryżanki tak się nie stroiły! A że trzeba wyzyskać nawet i nieszczęście, które minęło, i dodatnie jego brać strony, przeto korzystały Paryżanki z powodzi o tyle, że na wiosnę stał się kolor żółto-zielony najmodniejszym. Nie jest to jednak nowością, bo już w r. 1802, gdy podobna klęska nawiedziła Francyę, wymyślono „suknie powodzi“, a mianowicie „kamizelki à l'inondation“, wychodzące u góry i na dole daleko po za granice zwykłych rozmiarów i grożące frakowi równą nieomal na dole długością.

Tej wiosny zatem jest kolor zielony hasłem Paryżanek. Miękkie, świecące sukno, cieńki kaszmir i piękne materye jedwabne okrywać będą wysmukłe postacie — rzeczywiście okrywać — a nie — odkrywać tak, jak to się dotąd działo. Podobno mają wrócić mody drugiego cesarstwa, ponad kolanami naszyta ryszka, passmenterya, lub borta ma wywierać złudzenie podwójnej spódnicy i przygotować nas do owej śmiesznej ówczesnej mody. Kto wie, czy owa dawniejsza nowa moda, usiłująca usunąć wysokie kołnierze i odsłonić białe, kształtne szyje, nie obdarzy nas także krynolinami à l'Impératrice i taśmami à la Vinterhalter! Że pani moda ogląda się po za siebie i patrzy w przeszłość — o tem wiemy oddawna! Ale że zatrzymuje się przy rzeczach tak brzydkich i chce je nam narzucić — to nie ładnie z jej strony. —

Nad Rivierą, w cieniu palm i eukalyptusów noszą panie teraz już takie kapelusze, jakie widać w pierwszorzędnych sklepach wielkich miast — ogromne, z zielonej słomki, ubierane czerwonemi różami, czarną aksamitką i jasnemi piórami. Są to kapelusze t. zw. Capelines Louis XVI, królujące jak hełmy zwycięzców na olbrzymim warkoczu. Obok tych kapeluszy widać czarne, z włoskiej słomki — na których kołyszą się prześliczne zielone egretki, błyszczące w promieniach słońca tysiącami barw świetnych. Najrozmaitsze kwiaty wychodzące z pod zręcznych palcy paryskich robotnic są ładnemi zwiastunami wiosny i ocieniają listkami swemi twarze, nie zasłonione jeszcze parasolkami. Pomimo to widać już i parasolki, których rękojeść owiniętą jest czarnym aksamitem, pokrycie ich zaś musi odpowiadać korolowi sukni. Parasolka jest od kilkuset lat wierną towarzyszką kobiecej eleg., lecz i ona ulega modzie i zmienia się często. Parasole Rzymianek były lekkie i powiewne i składały się albo z liści palmowych, albo z włosów kobiecych, w szesnastem stuleciu robiono je z płótna, skóry jeleniej lub z innej garbowanej skóry. Wówczas ważył taki parasol kilka kilogramów, lecz osłaniał za to trzy, albo cztery osoby. W ośmnastem stuleciu nosiły panie parasolki z kolorowej jedwabnej gazy, przybierane piórami, a przy końcu panowania Ludwika XVI były parasolki tak maleńkie, że można je było złożyć i nosić w kieszeni. A że niektóre wielkie panie jeszcze na ciężar ten narzekały, przeto ukazały się wnet na mostach, placach i rogach znaczniejszych ulic wypożyczalnie parasolek. Płacono dwa liardy za pożyczenie parasola i po użyciu, oddawano go w najbliższem biurze wypożyczalni.

Dziś, w dwudziestem stuleciu noszą panie parasole na głowach! —

Paquin, Doucet, Redfern — w połączeniu z wiosną — któż zdołałby się oprzeć potędze takich kusicieli! Nie wiemy nawet, zkąd pochodzą nazwy wszystkich lekkich, powiewnych materyi, jakie nam wola tych tyranów narzuca! „Mousselin“, który w tym roku bardzo będzie modny, wywodzi nazwę swą od azyatyckiego miasta Mossoul — „gaza“ od syryjskiego miasta Gazal, „serge“ od xerga, wełnianej materyi, wyrabianej w Hiszpanii, a „shawl“ pochodzi od „sala“ — co w Sanskrycie oznacza kobierzec. „Kobierce“, które piękne panie w tej wiośnie zarzucać będą na ramiona, są rzeczywiście przepiękne: na czarnym tiulu inkrustacye ze złota i srebra i na chińskich jedwabiach wypukłe, ręką haftowane kwiaty, lub całe bukiety kwiatów, naszywane z wązkich kolorowych atłasowych wstążeczek.

Nawet i płaszczyki piesków podlegają modzie i tej wiosny z Chin je sprowadzają. Dotychczasowe sukienne przykrycia znikają zupełnie, pieski dostawają płaszczyki żółte jedwabne, z szerokim na brzegach haftem, a że podług najnowszej mody mają długowłose Filou i Toutu po obydwóch stronach łebka zaplatane warkoczyki, przeto wyglądają wszystkie pinczerki, pudelki i King Charles, idące grzecznie w „lasku“ obok swych pań, jak dumni, świadomi swej piękności, mandaryni. Paryżanka, patrząca na te małe, czworonożne pieszczotki przez lornetkę, nie nosi jej teraz na długim złotym łańcuszku — le dernier cri przepisuje skromną, na palec szeroką, czarną morową wstążkę, spiętą klamerką, na której brylantami wysadzany jest monogram właścicielki.

Przed pięćdziesięciu laty pisała pani de Girardin, że Paryżanka nie może przejść koło okna, za którego szybami leży niebieska lub liliowa wstążka, bez budowania zamków na lodzie i bez powiedzenia sobie: te kokardki przypnę

do włosów — tę rozetkę do paska, a te dwie większe do rękawów! Jeżeli teraz, w blaskach wiosennego słońca lśnią kosztowności w składach złotników na ulicy de la Paix milionami różnokolorowych ogni, jeżeli oczy spoczywają na przeróżnych i ślicznych drobnostkach, które moda przynosi, na owych żabocikach koronkowych, haftowanych rękawach, szerokich szyldkretowych grzebieniach, to można stwierdzić, że słowa pani de Girardin i dziś jeszcze przestarzałemi nie są. Paryżanki patrzą z równym zawsze zachwytem na mitenkach z koronki Alençon, na skórzanych kamaszach i na tych przedmiotach, które znikającą z wiekiem piękność powstrzymać mają: na pudrze i rozmaitych szminkach — na czarnych, niebieskich i czerwonych laseczkach — na obcążkach dla nosa i pomadzie na usta!

Z początkiem tegorocznej wiosny wróciła i ta moda, że panie same powożą w lasku bulońskim. Aby temu zapobiedz — zwyczaj ten wywołał już bowiem dużo nieszczęśliwych wypadków — na to potrzebaby człowieka tak mądrego, jakim był jeden z dworzan Ludwika XV, mons. d'Argenson. Na liczne skargi, że panie powożące, nie zważają na przechodniów, zwrócił się król do p. d'Argenson z prośbą o pomoc. Nazajutrz wydał pan d'Argenson w imieniu króla rozkaz, że tylko paniom, mającym przeszło lat trzydzieści, wolno powozić.

I w przeciągu dwudziestu czterech godzin nie było już ani jednej damy na koźle!

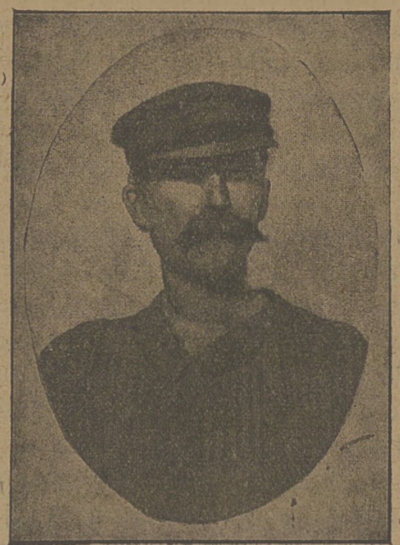
Czy i teraz skutkowałby taki przepis policyjny? —

Kennan o Pearym.

Znany autor „Syberyi“, Jerzy Kennan, uzasadnia temi słowy w miesięczniku amerykańskim *„The Outlook“* zasługi odkrywcy bieguna północnego, komendanta Pearego, świeżo mianowanego przez senat Stanów Zjednoczonych kontr-admirałem.

Dotarcie przez komendanta Pearego do bieguna północnego — pisze Kennan — po dwudziestu trzech latach usiłowań natężonych i wytrwałych stanowi ilustracyę wymowną faktu, że tak na dalekiej północy, jak gdzieindziej, powodzenie zawsze staje się udziałem człowieka, który potrafi je przygotować.

Wśród ogółu panuje, zdaje się, przeważnie opinia, że powodzenie wypraw podbiegunowych zależne jest głównie, jeżeli nie w całości, od wytrzymałości na trudy, odwagi i przystosowania się do życia Eskimosów. Przyjęte jest powszechnie, że jeżeli dwóch różnych ludzi posiada zalety powyższe i jeżeli obu szczęście służy w równej mierze, to obaj mają szanse równe dotarcia do bieguna. Istotny wszelako i fatalny błąd takiego zapatrywania tkwi w tem, że nie bierze ono pod uwagę czynnika je-



Robert Peary, odkrywca bieguna północnego.

dynie ważnego i rozstrzygającego we wszelkiem współzawodnictwie, na wszystkich polach działalności ludzkiej, mianowicie sądu o rzeczy, wykształconego na praktyce i doświadczeniu.

W większości innych przedsięwzięć zyciowych oceniamy właściwie wiedzę praktyczną i sąd o rzeczy. Wiemy doskonale, że najbardziej nawet utalentowany lekarz, sądownik lub kupiec nie potrafiłby współzawodniczyć z Harrimanem (niedawno zmarły „król kolejowy“) w sprawie zarządu kolejami lub z Morganem w sprawach finansowych. Nie przypisujemy mu nawet zdolności bezpiecznego i szczęśliwego posterowania promem parowym w poprzek Rzeki północnej (odnoga Hudsonu, dzieląca Nowy Jork od Long Island City) poprostu dlatego, że nie posiada doświadczenia pod tym względem. Uznajemy fakt, że sprawy kolejowe, bankowe, a nawet sterowanie promem parowym są wysoce wyspecyalizowanemi formami działalności intelektualnej i że człowiek, posiadający mało lub żadnej pod tym względem wprawy, nie podoła im według wszelkiego prawdopodobieństwa.

Zupełnie to samo dotyczy wypraw podbiegunowych. Jazda sankami i obozowanie wśród warunków podbiegunowych, to interes *(business)*, którego należy nauczyć się tak, jak każdego innego interesu, ten więc człowiek ma najwięcej szans zwycięstwa w sprawie dotarcia do bieguna, który poświęcił się najbardziej rozwiązaniu zadań, związanych z tą sprawą, i posiada najwięcej doświadczenia tudzież praktyki.

W zarządzeniu i wyekwipowaniu polarnej wyprawy sankami wszystko zależy od przygotowania odpowiedniego w celu przezwyciężenia mnóstwa prawdopodobnych trudności i przeszkód. Brak nart dla przebywania płaszczyzn lodowych, pokrytych wodą i śniegiem, rozprzężył i zniweczył zupełnie działalność jednego z oddziałów sankowych wyprawy Naresa. Zabranie karabinów zamiast strzelb do śrutu, stanowiło błąd, który naraził na śmierć głodową kapitana De Longa i towarzyszów jego w delcie rzeki Leny. Zdaniem Jana Rae, angielskiego podróżnika podbiegunowego, cieszącego się sławą światową, zaopatrzenie oddziałów sankowych angielskich wypraw podbiegunowych okazywało braki pod każdym niemal względem, a zwłaszcza w takich szczegółach, jak namioty, worki do spania, budowa sanek i balast niepotrzebny.

Komendant Peary był w możności uniknięcia wszystkich tych błędów, gdyż nauczył się sztuki wędrowania po lodach polarnych w ciągu lat długich praktyki ciężkiej i niebezpiecznej. Doświadczenie uczyniło go biegłym w wyborze ludzi tudzież psów do sanek i rzeczoznawcą co do ciężaru, jaki zabrać było można, pożywienia, wreszcie osiągnięcia szybkości możliwej. Wiedział, w jakim kierunku posuwać się będą prawdopodobnie ruchome płaszczyzny lodowe przy różnych kierunkach wiatru; nauczył się organizowania oddziałów pomocniczych tak, aby niosły pomoc jaknajskuteczniej; obmyślił najlepszy kształt sanek ze wszystkich używanych dotychczas na lodach podbiegunowych; wynalazł i udoskonalił lampę do gotowania, mogącą przy wielkiej oszczędności materyału palnego zamienić daną liczbę lodu lub śniegu na galon wody wrzącej w ciągu dziesięciu minut; wogóle ulepszył mniej lub więcej każdy szczegół uznanych do owego czasu za najlepsze środków przewozu, ubrań i zapasów. Ostateczne więc zwycięstwo jego było, jak sam się wyraził w mowie, wygłoszonej podczas obiadu danego na cześć jego przez Stowarzyszenie „Aldine“ w Nowym Jorku, „uwieńczeniem długiego doświadczenia i przeniknięcia na wskroś warunków zadania podczas wypraw poprzednich“.

W czasie ostatniej wojny z Rosyą Japończycy nazywali zwykle najpomyślniejsze swe operacye wojskowe „z góry przygotowanemi“. Stosując to ich wyrażenie, możemy śmiało oświadczyć, że czyn Pearego, wieńczący całą jego działalność, nie był, jak go nazywano,

„zdobyciem bieguna za jednym zamachem“, ani „trafem szczęśliwym“, lecz zwycięstwem „z góry przygotowanem“.

Tadeusz Mielcarzewicz.

Nowości beletrystyczne.

Weyssenhoff: Unia. — Warszawa — Kraków 1910. — *Gabryela Zapolska: Szaleństwo.* — Warszawa — Kraków 1910. — *Kazimierz Przerwa-Tetmajer: Na skalnem Podhalu, V.* — Kraków — Warszawa 1910. — *Jerzy Żuławski: Kuszenie szatana.* — Warszawa — Kraków 1910. — *Zygmunt Bartkiewicz: Psie dusze.* — Warszawa — Kraków 1910. (Książki te wyszły nakładem Gebethnera i Wolffa, względnie G. Gebethnera i Spółki).

Na czoło plonu beletrystycznego czasów najnowszych wybiła się powieść litewska *Józefa Weyssenhoffa: „Unia“* (drukował ją w roku ubiegłym „Tygodnik Illustrowany“). Weyssenhoff, autor świetnej satyry powieściowej „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego“, oraz obszernych obrazów powieściowych: „Sprawa Dołęgi“, „Syn marnotrawny“ i kilku pomniejszych, przytem krytyk literacki (jako taki wygłasza coprawda nieraz sądy, na które żadną miarą zgodzić się nie można, tak np. nie tylko nie docenia on należycie twórczości Wyspiańskiego, ale nawet wprost krzywdzi autora „Wesela“), jest pierwszym pisarzem poruszającym w powieści bolączkę czasów ostatnich na ziemiach litewskich, gdzie separatystyczne zakusy Litwinów pragną za każdą cenę wziąć rozbrat z narodem polskim i oderwać się ostatecznie od wspólnego pnia matki — Polski. Bolesne to i fatalne objawy, rozdzierające te dwa tak ściśle ze sobą od wieków złączone narody na dwa wrogie obozy. Nieszczęsna agitacya szowinistów litewskich, która teren walki przeniosła już do szkoły i kościoła, osłabia oba narody ku uciesze wrogów. Rzecz oczywista, że zawiłej tej kwestyi nie można rozwiązać za pomocą utworu powieściowego, nie kusi się też o to autor „Unii“, ale rzuca w swej powieści bądź-co-bądź zbawienne myśli dotyczące wspólnego porozumienia się bratnich narodów, czyni nader ciekawe spostrzeżenia, daje nawet tu i owdzie praktyczne wskazówki, które mogłyby, przynajmniej w części, wydać pożądane owoce, gdyby powołane czynniki — zarówno litewscy nacyonaliści, jak i litwomani — zechciały je *sine ira et studio* wziąć pod rozwagę.

Pomimo że autor przedstawia nam wyczerpujący obraz stosunków polsko-litewskich, które badał sumiennie i poznał wszechstronnie, to jednak nie ten aktualny pierwiastek, lecz strona artystyczna nadaje specyalną wartość utworowi. Przedewszystkiem maluje autor ponętne krajobrazy litewskie pewną ręką i z widocznem ukochaniem przedmiotu; miejscami wznoszą się jego opisy natury do wyżyn prawdziwej poezyi. Weyssenhoff odsłonił tu zupełnie nowe strony swojego talentu, — wyznajemy, że tyle poezyi nie przeczuwaliśmy w tym bardzo poprawnym powieściopisarzu i trzeźwym satyryku. Także typy, silnie postawione, opromienia autor, nie skąpiąc im oczywiście swego satyrycznego ołówka, szczytnym idealizmem i tchnieniem poezyi. Zwłaszcza dwie naczelne postacie, dwoje dzielnych ludzi, stwierdzających czynem swój głęboki patryotyzm, zyskują sobie najżywsze sympatye czytelników. Kazimierz i Krystyna, reprezentanci Korony i Litwy, łączą się węzłem małżeńskim i ślubują sobie pracować nad ratowaniem kraju, nad wzmocnieniem *unii* Litwy z Polską.

Inne figury powieści są należycie uwydatnione, jako charakterystyczne typy litewskie nie pozbawione głębszego znaczenia. W „Unii“ spotykamy także ulubioną postać autora, pana Apolinarego Budzisza, człowieka nie grzeszącego zbytniem uzdolnieniem i rozumem politycznym, ale święcie przekonanego o swej wielkości i o swojem posłannictwie. Autor wprowadził już tę figurę — choć tylko mimochodem — do najpierwszej swej dłuższej powieści, tj. „Podfilipskiego“, tam jednakże jest pan Apolinary jeszcze „poczciwcem“, mającym wstręt do czytania gazet, gdyż, jak twierdzi, podają one „same dalsze ciągi“ tak, że połapać się w nich trudno. Później wziął sobie autor p. Budzisza specyalnie za cel swojej ciętej satyry w „Dniach politycznych“ (dwie serye: 1906 i 1908), gdzie skromny ten szlagon wyrasta na „działacza politycznego“. I w „Unii“ nie stracił p. Apolinary pewności siebie i wiary w skuteczność swoich projektów. — W równej mierze jak poszczególne typy i charaktery budzą nasz interes najrozmaitsze objawy gromadnego życia litewskiego, którym autor poświęcił dużo miejsca w swej najnowszej powieści.

Tak więc jest „Unia“ pod każdym względem powieścią dobrą. Wykazał nią Weyssenhoff, że piękny jego talent wciąż jeszcze jest w stanie rozwoju; pozwala to spodziewać się niejednego jeszcze wartościowego dzieła z pod pióra autora „Unii“. —

Liczni zwolennicy talentu *Gabryeli Zapolskiej* zechcą niewątpliwie z wielką skwapliwością zapoznać się z nową jej powieścią p. t. *„Szaleństwo“*. Już to Zapolskiej oddać trzeba sprawiedliwość, że materyał, z jakiego urabia artystyczne swoje utwory, zawsze dobrany jest nader starannie. Nigdy nie powiemy o jej powieściach: to rzeczy banalne, niemożliwe, sztuczne, — przeciwnie, wszystko, co autorka opisuje, wypływa samo ze siebie, wszystko zdarzyć się może codziennie, tak jest naturalne i proste. I to jest właśnie jedna z najdodatniejszych cech jej talentu, że z drobnych, powszednich wydarzeń potrafi ona, bez przybierania do pomocy wielkiego aparatu niezwykłych wypadków, mocą głębokiej psychologii a także znawstwa zewnętrznych cech życia i ludzi, tworzyć nie tylko prawdziwe tragikomedye, ale i wstrząsające tragedye. Taką była powieść Zapolskiej „O czem się nie mówi“ (omówiona już przez nas na tem miejscu), taką jest najnowsza jej powieść *„Szaleństwo“*.

Tym razem musimy uczynić pewne zastrzeżenie. Duszne powietrze, jakiem przepełniony jest ten utwór, sprawia przygnębiające wrażenie. Albowiem nawskroś chorą jest dusza głównej bohaterki powieści Reny Brzeziewiczowej. Oczywiście dzieła sztuki (a do takich liczy się i *powieść,* — lubo nie każda!) ograniczeń nie znoszą, każdy temat ma tu racyę bytu, byleby tylko artystycznem obrobieniem wzbudzał rozkosz estetyczną, — atoli nie każdemu sprawi przyjemność spędzenie kilku godzin (książka liczy 400 stron) z osobą w najwyższym stopniu nerwowo rozdrażnioną. — Jeden jedyny raz zeszła pani Rena z drogi wierności małżeńskiej, a grzech ten zemścił się na niej fatalnie. Straszne wyrzuty sumienia, niepewność, kto jest naprawdę ojcem jej dziecka, czy mąż, czy przygodny kochanek, niemożność rozwiązania tej zagadki za pomocą ciągłego porównywania podobieństwa, oraz z pomocą dzieł lekarskich, które Rena po nocach wertuje w bibliotece męża, zatruwa każdą chwilę jej życia i doprowadza ją do szaleństwa. Zaiste, Zapolska dała i tym razem powieść wprost umoralniającą (okrzyczano autorkę kiedyś jako pisarkę „niemoralną“!). Inne kobiety w miejscu Reny, choć potępiłyby w głębi duszy swój postępek, pogodziłyby się zapewne prędzej i łatwiej z istotnym stanem rzeczy, nie męczyłyby dzień w dzień mózgu czarnemi myślami, nie zapadłyby z rozpaczy w nieuleczalną chorobę duszy. Rena ginie śmiercią samobójczą, gdyż nie umiała zawierać z życiem wygodnych kompromisów. Pokuta, jaką jej los za przewinienie wyznaczył, zmyła stokrotnie jej chwilowe zapomnienie się...

Pomimo wszelkie zastrzeżenia przyznać musimy autorce, że i tym razem wywiązała się ze swojego zadania wzorowo. Psychologia chorej duszy współczesnej oddana została z żelazną konsekwencyą (inne postacie tej powieści mają tylko epizodyczne znaczenie). Prawdziwe męski talent Zapolskiej pokonał tu zwycięsko wszystkie trudności. Powieść stworzona niechybnie z silnem naprężeniem nerwów autorki, nadaje się również tylko dla czytelników o mocnych nerwach, — takim też tylko możemy to „studyum psychopatyczne“, jakiem jest „Szaleństwo“, polecić z czystem sumieniem. —

(Dokończenie nastąpi).

Cudną niech będzie wizyą życie nasze
Pieśnią miłosną, co ją nuci ptasze
W noc wysrebrzoną!
Szeptem niech będzie strumyka wśród ciszy
Leśnej i wonią, którą kwiecie dyszy,
W dal zbłękitnioną!
Niech będzie z wspomnień najczytszych splecionym
Różańcem pereł; swem szczęścia prześnionym
Pieszczoty tchnieniem,
Lecz niegasnącą niech będzie pozłotą
Cichą dusz dwojga zadumą, tęsknotą
Serc ukojeniem.

O dyamentach.



Przy obróbce dyamentów.



W szlifierni dyamentów.

Różne kamienie, sole, kruszce, węgle, gatunki ziemi i wszystko, co jest ze ziemią spojone, nazywamy minerałami, a naukę o ziemiach i kamieniach mineralogią. Mówimy — naukę, ponieważ uczeni badają, gdzie się jakie gatunki minerałów znajdują, z czego się składają, jakie mają przymioty, do czego są przydatne, jak prawdopodobnie powstały. Uczeni mają osobne kuchnie, w których wszystko badają ogniem, szkłami powiększającemi, wagą, kwasami itd.

Kamieni różnego gatunku jest bardzo wiele w ziemi, najpiękniejsze i najrzadsze nazywają się drogiemi kamieniami. Nic twardszego na ziemi nie ma nad te kamienie, ciepło trudno przez nie przechodzi, dla tego są zimne. Można je szlifować i polerować gładko, przez co nabierają blasku i połysku i pięknych kolorów. Są drogie kamienie pierwszego i drugiego rzędu. Tamte są zupełnie przezroczyste, czasem jak woda, oszlifowane mienią się pięknie. Kamienie drogie drugiego rzędu częściej się znajdują i wcale nie są przezroczyste, albo mało co.

Do najgłówniejszych gatunków drogich kamieni zalicza się dyament czyli brylant.

Jest to minerał o mocnym połysku i silnie łamiący światło, składający się z czystego skrystalizowanego węgla. Najcenniejszym jest bezbarwny i przeźroczysty, są wszakże i odmiany żółte, szare, brunatne, czerwone, a nawet czarne. Dyament jest najtwardszem z wszystkich ciał, ale będąc łupliwym i kruchym, łatwo pęka, n. p. rzucony na ziemię. Spala się w tlenie na dwutlenek węgla. Oszlifowany zapomocą własnego proszku odznacza się prześlicznym blaskiem i zowie się wedle kształtu albo brylantem albo też rautem. Wedle przeźroczystości dzielą się dyamenty na 1. 2. lub 3. wody. Najwięcej dyamentów znajdują w Indyach Wschodnich, w Afryce południowej i w Brazylii a także na wyspach Borneo, Sumatra, w Australii i w górach uralskich.

Wartość dyamentów jest bardzo wysoka; zależy ona od kształtu i wagi, oznaczonej w karatach (karat równa się wadze około trzech kropli wody czystej, dokładniej 205 miligramów).

Surowy, nieoszlifowany dyament nie ma ani połowy tej wartości co oszlifowany, choćby ten był dziesięć razy mniejszy, to też jubilerzy oddają dyamenty zakupione w surowym stanie do szlifierni. Największe szlifiernie w Europie znajdują się w Amsterdamie, mniejsze w Pforzheimie i w Hanau.

Obrabianie i szlifowanie dyamentów jest pracą nadzwyczaj mozolną, którą po największej części tylko ręcznie wykonywać można, ponieważ dyamenty są przeważnie bardzo małe, nieco większe od łebka szpilki. Tylko wielkie dyamenty szlifuje się na urządzonych na ten cel maszynach czyli młynkach, obracających się z błyskawiczną szybkością (2000 razy na minutę). Naturalnie zachować należy nadzwyczajną ostróżność i rozwagę przy szlifowaniu, aby nie zepsuć dyamentu, który po oszlifowaniu przechodzi do rąk t. zw. kunsztmistrzów celem najgustowniejszej i najpiękniejszej oprawy.

W europejskich szlifierniach dyamentów jest wogóle zatrudnionych około 25,000 robotników.

Obróbkę, szlifowanie i oprawę dyamentów unaoczniają nam zamieszczone ryciny, czwarta z nich przedstawia wielką salę maszyn służących do szlifowania tych brylantów.

Wielkie i piękne dyamenty są znane na cały świat, opisane i w obrazkach podawane; piszą, kto je posiadał i posiada.

Największy z nich został wydobyty 30-go czerwca 1893 r. z kopalni Jagersfontein w republice afrykańskiej Oranje. Nazwano go *Excelsior*. Jest on bladawo-niebieski, waży 971 i trzy ćwiercie karatów. Wartość jego szacują na 10 mil. marek.

Po nim następuje dyament zwany *Kohinoor* (góra światłości). Dawniej ważył on 793 karatów, lecz po oszlifowaniu waży tylko 106. Należy do skarbu angielskiego.

Brazylia posiada dyament, zwany *gwiazdą południa*, o 125 karatach wagi.

Dyament nieoszlifowany, który posiadała Portugalia, ważył 1680 karatów, lecz nie wiedziano, czy jest czysty.

Szach (król) perski, Nadir, posiadał dyament, ważący 779 karatów, wartości 102 milionów marek.

Piękny czysty dyament, nazwany amsterdamski, znaleziono w Indyach r. 1765. Carowa rosyjska kupiła go za przeszło półtora miliona marek, a jest on wart więcej, waży bowiem 194 karatów.

Cesarz austryacki posiada dyament 139-karatowy, który jednak tylko jest wart 24,000 marek, ponieważ jest koloru nieco żółtawego.

Dyament Pitt nabył król francuski Ludwik XV za przeszło trzy miliony marek ,waży 136 karatów, teraz jest wart około 10 milionów marek, bo jest bardzo czysty.

To są zbytki, ponieważ te kamienie są tylko na pokazanie. Lecz dyament ma też wartość prawdziwą, pożyteczną, więc byłoby dobrze, iżby był tańszy. Ponieważ jest bardzo twardy, dla tego rznie wszystko i może być tak zaostrzony jak nic innego; jest potrzebny szklarzom, rytownikom na miedzi i kamieniu oraz do świdrów dyamentowych, używanych do przewiercania twardych skał.

W Indyach najwięcej dyamentów znajduje się w rzekach, z których spuszcza się wodę w inne łożyska, usuwa szlam i szuka w piasku kamieni. Kilka tysięcy murzynów zajmuje się ich szukaniem. W czasie suchym zbiera się piasek z dyamentami, a w czasie mokrym szuka się kamieni. Murzynom nie wolno brać żadnego kamienia, muszą wszystkie oddać przedsiębiorcom, lecz czasem połykają jaki dyament, aby przy rewizyi nic nie znaleziono, a potem sprzedają na swoją rękę.

Teraz z Afryki też przychodzi wiele dyamentów, gdzie są ku temu urządzone kopalnie.

Ludzie próbują wyrabiać dyamenty w sztuczny sposób, podobnie jak próbowano robić złoto z tanich rzeczy. Dyamenty starają się robić w ten sposób, że pompują we wodę wielką ilość węglanu. We wodzie pokazują się małe kryształki dyamentowe, które się powiększają. Próbują też innych sposobów.

Niemasz nic bardziej niedorzecznego i nic bardziej bezbożnego, nad człowieka mającego wzrok okryty gęstą mgłą zmysłową, gdy się odważa rozumować o wyrokach odwiecznej sprawiedliwości.

Ludwik Zeiszner.

Hygiena rozrywek.

Rozrywki jak hydroterapia, mają właściwości różnorodne. podniecające lub uspakajające wedle tego, jak bywają stosowane.

I praca i pracowite lenistwo sprowadzają objawy jednakie: bóle i zawroty głowy, apatyę lub podniecenie nerwowe, przy którem myśli nasze obracają się w jednem kółku, zwykle ciasnem. W obu wypadkach człowiek traci moc panowania nad sobą. Jeżeli przeważającym objawem jest zgnębienie, apatya, po wysilonej pracy umysłowej, trzeba szukać rozrywek łatwych, uspakajających. Jeżeli praca umysłowa, nie wywołując zaburzeń w systemie nerwowym i w mózgu, bywa utrudniona, należy umysł trenować przy pomocy środków podniecających. Wreszcie, gdy automatyzm mózgowy jest silny, gdy myśl zwraca się wyłącznie ku jednym przedmiotom i staje się naprzykrzoną, trzeba uciekać się do rozrywek odwodzących ją od obcesyi.

Najbardziej kojącą rozrywką jest marzycielstwo, swobodne puszczenie wodzy myślom, bądź przez zwracanie ich wstecz ku wspomnieniom, bądź przez wypuszczanie ich naprzód ku nieziszczonym a drogim pragnieniom. Tę czynność mózgową należy stosować po każdej podniecającej rozrywce, a więc po natężonej pracy, po wzruszającej lekturze, po wstrząsającem przedstawieniu teatralnem; pomaga do odzyskania równowagi myślowej, do snu. Lecz długie mrzonki nie są dobre dla osób nagabywanych myślą uporczywą („idée-fixe“), lub wybujałemi aspiracyami, gdyż w takich razach marzenia puszczają im wodze.

Osobom przepracowanym zaleca się spacery po ludnych ulicach, widowiska, nie wysilające uwagi, w mniejszej zaś mierze zebrania towarzyskie, jako nie wymagające myślowego wysiłku.

Właściwość kojącą posiada muzyka łatwo wpadająca w ucho, dlatego stosowaną bywa codziennie w miejscowościach kuracyjnych. Najłatwiejszą jest muzyka o wybitnym rytmie, słowem arye taneczne. Temu właśnie zawdzięczają swe powodzenie orkiestry cygańskie, wygrywające w restauracyach. Im bardziej melodye są znane, tem milej wpadają w ucho. Po każdym sezonie koncertowym i teatralnym pozostaje pewna liczba aryj ogranych, oklepanych nawet i dlatego kojących nerwy.

Sporty, uprawiane z umiarkowaniem: dla rozrywki, nie zaś dla emulacyi, konna jazda, bicykl, wiosłowanie, ślizgawka, pomagają do wypoczynku; oglądanie wystaw i muzeów jest bardziej nużącem; lepszy skutek daje przeglądanie fotografij reprodukujących arcydzieła pędzla i dłuta.

Słowem rozrywkami kojącemi są te, które nie nadają władzom umysłowym ściśle określonego kierunku i nie wymagają natężenia i uwagi.

Rozrywki podniecające winny przeciwnie zwracać umysł w określonym ściśle kierunku, winny go zainteresować, a nawet pochłonąć.

W pierwszym rzędzie stoi rozmowa, zwłaszcza dowcipna, cięta, która zmusza do myślowego wysiłku, gdy w niej bierzemy udział, a rozrywa, gdy



Wielka sala maszyn w szlifierni dyamentów w Amsterdamie.
(Patrz artykuł p. t. „O dyamentach.“)

jej słuchamy. Nie powinna jednak przeciągać się zbyt długo, bo wówczas nuży i nudzi.

Gry towarzyskie, szarady, rebusy działają tak samo, jak gry hazardowe lub komersyjne, połączone z zyskiem lub stratą materyalną. Podniecają również sporty konkursowe, będące dla miłości własnej ostrogą. Popisy żonglerów, akrobatów, pantominy, feerye rozrywają umysł, wzbudzając przytem wesołość. Rzecz prosta, nie powinny one przeciągać się do późnej godziny.

Rozrywki odciągające myśl od trosk, kłopotów, od uporczywych manij, zwracają uwagę w inną stronę. Czynnikami ich są: lektura przeróżna, od dzienników i czasopism, do dzieł naukowych, od sensacyjnych romansów do utworów poetycznych. Dalej: dyskusya, zwłaszcza o sprawach politycznych roznamiętniających ludzi najwięcej.

Rzeczą główną jest wybór odpowiednich usposobieniu rozrywek, Trzeba je stosować do inteligencyi, do przyzwyczajeń, do poprzednich zajęć, należy też przerywać rozrywki w porę, aby nie stały się równie uciążliwe, jak praca. Jeżeli nie stosujemy ich umiejętnie, działanie ich będzie wręcz przeciwne naszym celom.

Jeśli dla wypoczynku po pracy umysłowej, puszczamy się w dalekie i męczące podróże, to zwykle wracamy z nich jeszcze bardziej znużeni. Jeśli chcąc zaznać ciszy, zakopujemy się na głuchej wsi, brak wrażeń sprowadza nudę i nie odrywa myśli od trosk i kłopotów.

Szczęśliwi ci, którzy poza granicami młodości, zachowali taką świeżość ducha, że rozrywką jest dla nich tennis! Dla większości jednak, rozpraszanie smutnych myśli jest rzeczą skomplikowaną i trudną. Trzeba umieć się bawić — to sztuka — „sui generis.“

Świat postępuje naprzód. Najpierwej idzie myśl, roznoszą ją ubodzy apostołowie i giną w niepamięci. Po nich idą fundatorowie, zbierają rozrzucone ziarna ubogich robotników i budują dzieła. Imiona ich przechodzą do potomności, tamtych giną.

J. Zacharyasiewicz. (Boże Dziecię).

* * *

Życie jest walką i obowiązkiem a nie użyciem i kaprysem, a obowiązku tego nikt nie ma prawa pozbywać się przed czasem dlatego, że gorzki i twardy, — tak, jak żołnierzowi w marszu nie wolno rzucić karabinu, dlatego że ciężki.

Ks. Jan Gnatowski.



W pracowni oprawy dyamentów.
(Patrz artykuł p. t. „O dyamentach“)

Mieczysław Srokowski.

Źle mi żyć, Boże!..

Żem precz iść musiał tam, gdzie droga bieży
W świat zimny, obcy, w ogromny świat cały;
Żem za kęs chleba, potomek rycerzy,
Sprzedawać musiał mej duszy kawały...
Że mi nie szumi moich łanów zboże —
Źle mi żyć, Boże —

Źle mi żyć, Boże! Tam, gdzie ojców prochy
Usnęły dumnie w kresowych kurhanach,
Gdzie się dniestrowe złamały porohy,
Gdzie wicher śpiewa po cecorskich łanach,
Tam—stoi biedny domek mojej matki...
W nim darmo czeka mię siwa gołąbka.—
Że zanim stargam moich sił ostatki,
Nie ucałuję już szaty jej rąbka,
Że lip dziadowych nie ujrzę już może—
Źle mi żyć, Boże —

Udarowałeś Ty mię do oddechu,
Miast silną piersią, tym próchna kawałem,
I pieśń ma zgasła, jak ginie głos w echu,
I nikt nie słyszał — choć duszę dawałem —
Nie odpowiedział mi żaden głos bratni,
A świat mi cały był jak lodu bryła, —
Że oto schodzę do grobu ostatni,
Że łza mi jedna nagrodą nie była,
Że w sercu mojem wciąż Golgota gorze —
Źle mi żyć, Boże —

Dział kobiecy.

Chore dzieci.

Nie ulega wątpliwości, że dziecko zdrowe łatwiej wychowywać, niż chorowite, z tego też zapewne powodu Rousseau nie chciał mieć nigdy do czynienia z dzieckiem słabowitem.

Dziś przy zwiększeniu się uczucia ludzkości, kiedy społeczeństwo uważa za swój obowiązek kształcenie dzieci upośledzonych od natury, jak ociemniałych, głuchoniemych, a także takich, które do moralnie zaniedbanych się zaliczają — inaczej patrzeć musimy na dziecko chorowite.

Pod względem hygienicznym wspomnimy tylko ogólnikowo, iż dzieci takie należy pomieszczać w pokoju obszernym, widnym, dobrze odwietrzanym i oddalonym od innych, otoczyć ustawiczną pieczołowitością, użyć bezzwłocznie porady lekarskiej itd., wszakże przeważnie zajmiemy się *stroną psychiczną* chorego dziecka.

Nikt nie zaprzeczy, że i my, ludzie dorośli, pod wpływem wewnętrznego bólu, lub przykrego uczucia niemocy, doznajemy złego humoru, który wyładowujemy na najbliższe, choćby najbardziej ukochane przez nas osoby. Jeśli więc my, którym panowanie nad sobą daleko snadniej przychodzi, niż dziecku, dopuszczamy się tej niesprawiedliwości, to dziwić się nie należy, iż małe dziecię podczas choroby kaprysi, grymasi i częstokroć wychodzi z kar-

bów uległości, do jakiej poprzednio przyzwyczajone zostało. Takie wady okazują się mniej więcej w każdem dziecku podczas choroby, ale w daleko większym objawiają się stopniu u dziecka, które będąc zdrowe, przyzwyczaiło się do samowoli, kaprysów i grymasów. Ile to razy się zdarza, że podczas choroby ukochanego, lecz źle prowadzonego dziecka, nikt nie może go namówić do przyjęcia choćby najbardziej osłodzonego lekarstwa, tak dalece, iż wreszcie przemocy użyć należy, aby spełnić zalecenie lekarza. Takie i tym podobne biedy musi znosić matka i piastunka, które wychowując dziecię, nie przyzwyczaiły je do stanowczego ulegania swej woli i utraciły wszelką powagę. Dlatego też i z tego względu należałoby się trzymać następującej zasady:

Wychowując, powinniśmy mieć na uwadze nie tylko zdrowie dziecka, ale jednocześnie pamiętać o tem, iż pomimo wszelkiej zabiegliwości i stosowania się do praw hygienicznych, każde dziecię zachorować może. Z tej wychodząc zasady, tak powinniśmy postępować ze zdrowem dzieckiem, żeby podczas swej choroby nietylko nie sprawiało nam zbytecznej przykrości, lecz zachowaniem się swojem ułatwiło swe wyzdrowienie.

Wiadomo, jak wielką trudność ma lekarz, powołany do łoża chorego dziecka, w odgadnieniu jego choroby; choć więc z tego względu, należałoby obznajmić dziecię z nazwami części swego ciała, aby umiało mniej więcej wskazać, gdzie czuje swoje cierpienie. Pod tym względem nieraz bardzo komiczne dają odpowiedzi, nawet doroślejsze dzieci. Znaliśmy ośmioletniego chłopczyka, który, nagle zachorowawszy przy stole, powiedział, że mu mdło, a kiedy go się spytano, gdzie czuje mdłości, odrzekł, że w pięcie. Jakkolwiek nie każde dziecko w tym wieku da tak śmieszną odpowiedź, to bardzo często jednakże zdarza się, iż senności nie umie odróżnić od chłodu i t. d. Nie przeczymy, że doświadczony lekarz nie da się w błąd wprowadzić łudzącemi wskazówkami dziecka, ale nie należy przysparzać mu trudności jeszcze z innej strony. Rodzice chcąc nieraz przymusić dziecię do przyjęcia lekarstwa, grożą mu doktorem, a w ten sposób przejmują je postrachem względem człowieka, którego dziecię za prawdziwego swego dobroczyńcę uważać powinno. Stąd powstaje nieufność, z jaką małe dzieci spoglądają na lekarza, oraz przekonanie, że wszystko co on zapisze, musi być gorzkie i niesmaczne.

Wiadomo dalej, że najbardziej do wyzdrowienia dopomaga spokój wewnętrzny chorego, a tyczy się to zarówno dorosłych jak i dzieci znajdujących się już w wieku, w którym przeczuwać mogą grożące im niebezpieczeństwo. Małe dzieci z wielką bystrością z rysów twarzy matki, ojca, odgadują smutek ich trapiący. Dlatego też i podczas choroby dziecię wyczytuje z twarzy matki trwogę spowodowaną jego słabością; z tego więc względu chore dziecię powinno widzieć naokoło siebie jedynie twarze spokojne, jeśli nie wesołe. Pojmujemy, że rzecz to nie łatwa, bo boleść rozdziera serce rodziców na widok ukochanego chorego dziecka, ale pomimo tego ze względu na dobro pacyenta mamy prawo wymagać, iżby rodzice o ile możności nie okazywali mu swojego niepokoju. Dziecię widząc zatrwożoną matkę, smutek malujący się na obliczu ojca, instynktem przeczuwa, że życiu jego grozi wielkie niebezpieczeństwo, traci więc otuchę, a kto wie, jak duch oddziaływa na ciało, ten zrozumie, że taki upadek ducha nie może się przyczynić do wyzdrowienia.

Z tej samej wychodząc zasady, należy dziecię, jeśli tylko stan choroby na to pozwala, o ile możności odrywać, odwracać jego uwagę od przykrego uczucia, jakiego doznaje i nie dozwalać, iżby się nudziło. W tym celu najlepiej będzie bawić się z dzieckiem, opowiadać krótkie, zajmujące powiastki, zważając na to, że chore dziecię potrzebuje częstszej zmiany, niż dziecię zdrowe, ale nigdy nie należy pozwalać, iżby samo czytało książki.

Jakkolwiek zalecamy chore dziecko bawić i rozrywać, to stąd bynajmniej nie wynika, iżby mu w niczem się opierać nie należało, owszem i jemu należy łagodnie i stanowczo odmówić tego, co za niestosowne dla niego uważamy. Nie obawiajmy się, nie pogorszy to jego choroby, bylebyśmy umieli czem innem je zająć. Zupełnie niewłaściwie postępują krewni i przyjaciele rodziców, obdarzając chore dziecię cukierkami i słodyczami, których spożyć podczas swej chorby nie może i nie powinno, a które pozostawione do spożycia po jego wyzdrowieniu, mogą stać się przyczyną powtórnej choroby. Również błędnie postępują rodzice, obiecując choremu dziecku to, czego po jego wyzdrowieniu spełnić nie chcą lub nie mogą. Najlepiej jest postępować z chorem dzieckiem tak, jak się postępuje ze zdrowem, z tą tylko różnicą, że z większą do niego przemawiamy słodyczą.

Skoro tylko niebezpieczeństwo minie, należy pomału wprowadzać dziecię w tryb dawnego życia, oczywiście bacząc na to, iżby błędna dyeta nie przyczyniała się do powtórzenia choroby. Dzieci po długiej chorobie zwyczajnie mają daleko większy apetyt i dlatego ustawicznie miarkować go należy. Również więcej pożądają ruchu na świeżem powietrzu, niż to się zgadza z przepisami hygienicznemi; dlatego i pod tym względem żądanie ich ograniczyć wypada. Przejście od życia bezczynnego, do zwyczajnych zajęć, powinno być powolne, nie nagłe; tak więc mały rekonwalescent od dnia, w którym zasiądzie przy wspólnym stole, może już pracować, z początku choćby jedną godzinę dziennie, później dwie, aż wreszcie powróci do zwyczajnego trybu życia.

Jeśli tak postępować będziemy, to nawet dłuższa choroba dziecka przeminie bez szkody dla jego strony moralnej.

„D. G."

* * *

Pierścionek.

Jedną z najstarszych ozdób człowieka jest pierścionek, a historya tej małej, wązkiej obrączki dosyć jest niezwykłą.

Podług zwyczaju staroangielskiego kładł narzeczony pierścień zaręczynowy na wielki palec lewej ręki z słowami: „w imię Ojca", potem zdejmował go, wkładał na palec wskazujący i mówił: „w imię Syna" i tak dalej — kolejno na wszystkie palce, aż na czwartym wyrzekł „amen". Jeżeli na wyspie Man obraził młodą dziewczynę jaki nieżonaty mężczyzna, i jeżeli sąd uznał go winnym, wtedy podawano dziewczynie miecz, postronek i pierścionek. Mieczem wolno jej było odciąć oskarżonemu głowę, na postronku mogła go powiesić, pierścionkiem zaś zmusić do ożenienia się z nią. Podanie mówi, że ostatnia kara — nie najlżejsza pewnie (jak czasem) bywała zawsze prawie wykonywaną.

Szkoda, że dziś w ten sposób karać przestępców nie wolno! Może byłoby mniej zbrodniarzy!

Pierścionki ślubne odgrywały w Anglii, mianowicie w siedemnastem, ośmnastem i dziewiętnastem stuleciu ważną rolę; w muzeum londyńskiem jest ich kilka — starsze mają kształt czaszki, późniejsze, ozdobione plecionkami z włosów w kształcie grobowej urny, mają właścicielom przypominać nieustannie o śmierci i pożegnaniu świata. Takie pierścionki miały tylko osobiste znaczenie, lecz noszono je też jako pierścienie pamiątkowe, naprzykład gdy Nelson, bohater angielski, poniósł śmierć pod Trafalgarem.



Egzekucya z wyroku sądu polowego w Rosyi.

W ostatnim numerze rosyjskiego pisma „Prawo" znajdujemy artykuł z cyframi statystycznemi, dotyczącemi kary śmierci w Rosyi za ubiegłe pięć lat. Przez 5 lat zostało wydanych 6268 wyroków śmierci, a dokonano kary śmierci w 2835 wypadkach. Co miesiąc były 104 wyroki śmierci, i 48 ludzi umierało na szubienicach, tygodniowo — 24 wyroki i 11 wypadków stracenia! W 1906 r., gdy funkcyonowały sądy polowe, ilość wyroków śmierci dochodziła do 220 na miesiąc. W 1908 roku w styczniu były dni, w które tracono po 8, 9, 11, 12 i nawet 19 ludzi. Przytaczając te okropne liczby, „Prawo" zaznacza, że sądząc z ilości wyroków śmierci, ubiegłe pięciolecie przypomina najkrwawsze epoki wieków średnich. W historyi zaś rosyjskiej mało jest takich momentów, które mogłyby iść w parze z obecnemi krwawemi czasy.

Pierścionki, zawierające w maleńkich kapsułkach truciznę, były znane już w najdawniejszych czasach; Pliniusz opowiada nam, że stojący na straży na kapitolu żołnierz, został za jakieś przewinienie skazanym na tortury, chcąc jednak ujść strasznym mękom, zatruł się za pomocą pierścionka. Cesarz Heliogabal nosił zawsze pierścień z trucizną, lecz pretoryanie tak go niespodziewanie napadli i zamordowali, że nie miał czasu odebrania sobie życia. Po Cezaryuszu Borgii został pierścień z małem wydrążeniem, przeznaczonem na truciznę, na wierzchu zaś znajdują się słowa: „Fays ce, que doys avien que pourra". (Czyń to, co czynić masz, a potem niech się dzieje co chce). — Niedawno pojawił się w Paryżu pierścionek, którego ozdobę tworzy maleńki złoty lew o wydrążonym pazurze, mającym styczność z niewidzialną prawie kapsułką trucizny. Jedno naciśnienie sprężynki wystarcza, aby trucizna przeszła do pazurka lwa.

Do niezwykłych pierścieni należą i te, które zaopatrzone bywały w dziwne napisy, tak samo i te, które ozdobione brylantami, służyły osobom historycznym do pisania na szkle. Pewnego dnia naprzykład uskarżał się Franciszek I, król francuski, na niestałość blizkiej sercu jego księżnej d'Estampes. Siostra jego Małgorzata śmiała się z niego — rozgniewany szyderstwem siostry, zbliżył się do okna, i swym „piśmiennym" pierścieniem następujące wyrył na szybie słowa:

„Souvent femme varie,
Mal habil qui s'y fie".

(Kobieta jest zmienną, pożałowania godny ten, kto jej uwierzy).

Małgorzata, zaprzyjaźniona z księżną, nic mu na to nie odpowiedziała, lecz na sąsiedniej szybie taki napis brylantem w pierścionku swym wyryła:

„Souvent homme varie
Bien folle qui s'y fie!“

(Mężczyzna jest zmiennym — szaloną jest ta, która mu wierzy.)

Czyżby oboje mieli słuszność? —

Liczbom wierzcie!

Wyraźniej niż najbardziej odstraszające przykłady przemawiają czasem do przekonania liczby. Liczba, to niby sucha cyfra. A jednak z niej dużo wyczytać i wyrozumieć można.

Przeczytajcie naprzykład tylko, kochani Czytelnicy, to, co wam podajemy w cyfrach o strasznych klęskach, jakie wyrządza ludzkości pijaństwo. A jeżelibyście nie chcieli wierzyć odstraszającym wywodom, to może liczbom uwierzycie.

Przed niedawnym czasem podjął się pewien uczony profesor niemiecki zbadania szkód, jakie pijaństwo wyrządziło w jednej tylko rodzinie, a przez tę rodzinę w społeczeństwie.

Przy pomocy więc urzędników zbadał, że prababka owej żyjącej dziś jeszcze pijackiej rodziny, urodzona w r. 1740, a zmarła z początkiem zeszłego wieku, była pijaczką. Z potomstwa jej, to jest z pomiędzy jej dzieci, wnuków i prawnuków, których było wszystkich 834 osób, zdołał ów profesor dowiedzieć się o życiu 709 osób.

Otóż z pomiędzy tych 709 osób, było 106 nieślubnie urodzonych, 146 żebraków, pobierających wsparcie publiczne 64, kobiet lekkich obyczajów 181, przestępców skazanych przez sądy 76, a z tych 7 osób skazanych na śmierć za zabójstwo.

W ostatnich 75 latach zapłaciło państwo według urzędowych obliczeń około sześć milionów marek jako wsparcia, koszta kar więziennych, odszkodowania itp. Takie to straty materyalne spowodowała jedna pijaczka-prababka przez swoje potomstwo.

O moralnych szkodach nie mówi ów uczony, bo tych nie badał, ale już wykaz owych 706 osób tak źle się prowadzących w życiu, pokazuje, jakie to straszne spustoszenie moralne sprowadza pijaństwo! Jest to rzeczywiście jeden z najgroźniejszych nieprzyjaciół społeczeństwa ludzkiego.

Przerażające są też cyfry, które w swojej mowie o zwalczaniu pijaństwa przytoczył na wiecu katolików niemieckich w Wrocławiu ks. prob. Kapica. Obliczył on między innemi, że w zeszłym roku wydano na gorące trunki w Europie 18 miliardów marek, a z powodu opilstwa umiera rocznie 230 tysięcy ludzi. W samych Niemczech pozostaje 180 tysięcy ludzi w więzieniach za zbrodnie spełnione pod wpływem alkoholu.

Jeżeli chodzi o śmiertelność, która jest skutkiem pijaństwa, to możemy też podać ciekawe cyfry z Rosyi. Tam pewien członek Dumy, poseł Czyłyszew, zajmuje się od dłuższego już czasu zbieraniem materyału w sprawie strasznego rozszerzania się alkoholizmu i jego następstw w Rosyi. Na jednem z ostatnich posiedzeń Dumy mówił o alkoholizmie, tej gangrenie społeczeństwa, i o śmiertelności, jaką powoduje alkohol. Popierając niejako swój referat, podał prze siebie zebrane cyfry, a mianowicie: Oto w przeciągu jednego roku zmarło wskutek zapalenia 6.895 ludzi, utopiło się w stanie pijanym 9.175, zmarło na zatrucie alkoholem 3.277, zabiło się wskutek upadku w stanie pijanym 8.758, porozbijało się o stopnie i latarnie 2.896 osób, obwiesiło się 1.350, otruło się 375, zaraziło się 674, zmarło zaś na udar sercowy 1251 ludzi. Razem 34.665 osób zginęło w jednym roku z powodu pijaństwa w samej Rosyi. Czyż to nie straszne cyfry?

A więc precz z pijaństwem!

Ale do tego potrzebna także pomoc tych, którzy prawa wydają. Prawdziwie zazdrościć można Finlandyi, gdzie od 1 lipca rb.ma obowiązywać taka ustawa: Wyrób i sprzedaż spirytusu są dozwolone *tylko dla celów lekarskich, technicznych i naukowych* i stanowią monopol państwa. Ze składów państwowych niedenaturowane mogą być sprzedawane *tylko aptekom oraz szpitalom i instytucyom naukowym, które otrzymają na to pozwolenie senatu,* fabrykom i zakładom przemysłowym na wyrób likierów, perfum i t. d. Z aptek spirytus może być wydawany tylko za specyalną receptą lekarza.

Kiedyż u nas dojdzie do tego?!

Co za cudowna wiara w łączność żyjących z tymi, którzy już przeszli, rozpłynęli się bez śladu, jak tonące, drżące brzmienia dzwonów w powietrzu. Ta pamięć o nich, jedynie nie samolubna, jest szczytna. Ona różni człowieka od zwierzęcia, które zmarłych swych nie grzebie i o nich nie pamięta.

Adam Krechowiecki.



St. J. Kozłowski (junior).

KOŁYSANKA.

Kołysała mnie piosenka sielska,
Szelest nagich kołysał mnie drzew,
Kołysała cisza mnie anielska,
Jakiś tęskny, oddalony śpiew.
Kołysała rzeki srebrna szarfa,
Kołysała lasów śpiewna harfa.

Kołysały mnie bezdomne ptaki,
Gdzieś pod niebem żyjące bez gniazd,
Kołysały zórz promienne szlaki,
I mrugania złotorzęsych gwiazd,
Kołysały mnie ojczyste niwy...
Jakże wtedy czułem się szczęśliwy.

Kołysały mnie rodzinne strony,
Kołysała niezmierzona dal,
I kościołów rozśpiewane dzwony.
Dziś pozostał jakiś dziwny żal.
Kołysanki sielskiej już nie słyszę,
Dziś tęsknota jeno mnie kołysze.

Ignacya Piątkowska.

Szczęście w pętach.

Fantazya.

Z wysokiego nieba zeszło raz na ziemię Szczęście, aby zapoznać się z ludźmi, których dotąd nie znało. Ile razy bowiem goniec niebiański ukazał się na ziemi, otaczał go zaraz tłum bogaczy i nie puszczał długo ze swych objęć, aż znużony biedz musiał na odpoczynek do swej świetlanej ojczyzny.

Jednostajność tych wycieczek znudziła wreszcie uroczego posłańca niebios, spłynąwszy więc tym razem na świat, ominął mieszkańców świetnych pałaców, wspaniałych komnat i cicho bez szelestu, zarzuciwszy barwny swój kaptur na głowę, a róg obfitości przez plecy, z uśmiechem pełnym słodyczy pobiegł zaciszną, wiejską drożyną zdala od miast wielkich. Ujrzawszy świetlanego gońca, mieszkańcy wiosek urządzili mu tryumfalne bramy, sypali do stóp kwiaty...

Szczęście rzucało wkoło przyjazne słowa, radosne uśmiechy, a z rogu obfitości rozsypywało bogate dary

— Mamy Szczęście! Przybyło do nas nareszcie! — wołali uradowani biedacy.

Złotowłosy goniec niebiański z radością patrzał na uszczęśliwioną rze-

szę; gnała go jednak chęć poznania innych ludzi, więc już za chwilę biegł dalej...

Zmęczony, w długiej swej wędrówce doszedł wreszcie do samotnej chaty. Domek był czysty i miłe robił wrażenie, zapukał więc niebiański poseł do drzwi. Otworzono mu z radości pełnym uśmiechem, a złotowłose chłopię, nie mówiąc ani słowa, rzuciło się na przygotowaną ławę, oparło głowę na dłoni i opanowane zmęczeniem po długiej, a nużącej wędrówce zasnęło.

Sen widocznie był miły, bo wśród niego uśmiechał się posłaniec niebios radośnie. Długie mijały godziny, a Szczęście wciąż spało.

Kiedy wreszcie słonko wysoko już było na niebie, a promyki złote miłośnie muskać zaczęły śpiącego młodziana, zbudził się, przetarł oczy i chciał wstać... W tej chwili jednak z przerażeniem zauważył, że ruszyć się nie może, bo w czasie snu zarzucono na niego silne pęta, a nie miał tyle mocy, aby się z nich wyrwać.

— Tyś to uczynił, niegodziwy człowieku! — zawołał z rozpaczą, zwracając się do wieśniaka.

Wieśniak milcząc, z tryufem patrzał na uwięzionego podstępnie młodziana.

Szczęście rzucało mu z rogu swego dary najwspanialsze, prosząc o wolność, ale mieszkaniec ubogiej chaty był nieubłagany. Od kiedy bowiem Szczęście zatrzymał przemocą, z dnia na dzień dobrobyt mu się powiększał, zdrowie mu służyło, a szacunek ludzi zdobywał przebojem.

Pewnego dnia wieśniak gdzieś wyjechał, a Szczęście samo pozostało w chacie. W smutnej samotności goniec świetlany rozmyślać zaczął nad swym losem... Tęskno mu było za swobodą, a nawet i za ludźmi, którym zwykł wiele dobrego czynić.

W tej chwili drogą jechała we wspaniałej karecie piękna, czarnowłosa dzieweczka. Była zadumana i smutna. Woźnica jechał wolno, gdyż upał był nie do zniesienia. Nagle usłyszała dzieweczka cichy i błagalny jęk dochodzący z chaty pod lasem, kazała więc stanąć i podeszła w stronę, skąd jęk dochodził.

Złotowłosy jeniec ujrzawszy dziewczę, opowiedział swą przygodę, jak to ubogi człowiek, chcąc go zatrzymać u siebie przemocą, zarzucił mu pęta, których rozerwać nie może.

Dzieweczka spiesznie rozerwała nożem krępujące więzy świetlanego gońca, i wyzwoliwszy go z pęt, zabrała ze sobą. Odtąd Szczęście najchętniej przebywa między bogaczami, w nich spoczynku szuka, ale bawi tam tylko przelotnie, krótką chwilę. Do chat ubogich boi się zbliżać, aby go znowu nie uwięziono przemocą...



Mała przestępczyni czyli zmartwiona Mania.

Cnota najlepsze szlachectwo, rozum nalepszy majątek, zdrowie najlepsza uroda.

Franklin.

* * *

Młodość i wiosna są prawdziwie porą do pracy, czego ... zasiejesz, nie będziesz zbierał w jesieni.

Tenże.

* *

Chciwiec żebrze ustawnie, ażeby skarb zebrać,
Marnotrawca rozrzuca, ażeby pójść żebrać.

Hieronim Feldmanowski.

Jean Richepin.

Wotum.

Najświętsza Panno Maryo, Matko Boża, wysłuchaj modlitwy, błagającej Cię w pokorze Ludwiki, Izydory, Cataliny, Mercedes de los Ronjos y Balanca y Audrait.

Klęcząc przed posągiem Matki Boskiej, zwrócona twarzą ku ołtarzowi, jak heliotrop ku słońcu, te błagalne szepce słowa córka jedyna hrabiego, którego pamięć dziś nazywają przeklętą.

I słusznie, bo wydał twierdzę Belver, oddaną mu przez króla, niewiernym, zdradził ojczyznę, króla i wiarę.

Tak królowi rzecz przedstawiono, i na dworze królewskim sąd, składający

się z biskupów i możnych kraju, wydał na niego wyrok potępiający.

Wszakże jedyna córka hrabiego, mimo powagi sędziów, którzy ten wyrok wydali, mimo świadectw wszelakich, wierzyć temu nie chciała, że ojciec był zdrajcą.

Nie chciała wierzyć, że w żyłach jej płynie krew renegata i wierzyła, iż nadejdzie dzień, który niewinność ojca wyjawi, i zada kłam wyrokowi. Dni płynęły, starzała się, chwiała, a nadziei żadnej nie było.

Ostatnią ufnością była Najświętsza Panna, Matka Bolesna, ta, która tak gorzko cierpiała nad śmiercią syna jedynego; do niej się więc uciekła i z oddaniem zupełnem i ufnością błagała:

„Wzbudź obrońcę, wzbudź mściciela, wzbudź bohatera, którvby się odważył ojcu mojemu sławę przywrócić. Poświęcę mu w zamian, co mam najdroższego na świecie. Poświęcę mu szczęście moje. Dam czego zarządą, przysięgam!“

Temi słowy modląca się, ufna, niewinna, mimo skończonych dwudziestu-pięciu lat, robiła wrażenie rozmodlonego dziecka.

Nazywano ją perłą Hiszpanii. Mężczyźni ubiegali się o jej względy, nie wyróżniła żadnego; królowi śmiało stawiła czoło...

Wpatrzona z ufnością, złamana, jak kwiat podcięty, modliła się dalej:

„Kto nim będzie, przysięgi dotrzymam. Zażąda żony, — będę mu żoną, zapragnie kochanki — kochanką, sługi — sługą, duszy — oddam mu duszę!“

Nie zwierzyła się nikomu z cierpień swych, przysięgi nikt nie słyszał, nie mógł też przybyć zbawca.

Pozdrawiam was, szlachetna dziewico, donno Ludwiko, Izydoro, Catalino Mercedes i obwieszczam wiadomość, która was ucieszy; ojciec wasz bowiem odzyskał sławę. Sława jego zabrzmi jak niegdyś.

Donna Ludwika ujrzała przed sobą siwego, zgrzybiałego, obdartego, w wielkich okularach, z trzęsącemi się rękoma starca, liczącego co najmniej siedmdziesiąt pięć lat życia.

Widok jego przeraził ją.

Ciało jej przebiegł dreszcz mimowolnego obrzydzenia:

„Czyżby ze mnie zażartował“? pomyślała z oburzeniem?“ „Czyżby zbawca mojego ukochanego ojca w takiej postaci przybywał?“

Zamierzała mu dać ostrą odprawę, lecz starzec spokojnie, bez słowa, ujął ją łagodnie za rękę i poprowadził z sobą.

Staneli przed królem; starzec wyjął z zanadrza pismo z pieczęcią królewską i czytał poważnie i donośnym głosem „rehabilitację hrabiego“.

Zgromadzeni panowie słuchali z powagą i szacunkiem. Własnoręczne pismo sułtana donosiło, że hrabia padł ofiarą strasznej nienawiści, nieprawdą jest, że twierdzę Belver wydał, nieprawdą, że wyparł się wiary chrześciańskiej, że odstąpił króla swojego.

Pismo opiewało dalej: hrabia, na pół żywy, jako jedyny niedobitek twierdzy, dostał się do niewoli, wszakże jako jeniec nie tylko nie wyrzekł się wiary, lecz nawrócił na chrześciaństwo wielu wyznawców Islamu, poddanych sułtana.

Uszedłszy z niewoli, udał się do Afryki, tam założył państwo chrześciańskie, atoli w końcu przez murzynów pojmany w niewolę, umarł, zamęczony przez nich tą śmiercią, jaką umarł nasz Zbawiciel t. j. na krzyżu.

Zbawcy ojca, mimo to, że był starcem zgrzybiałym, łysym, ślepym, chciała donna Ludwika, pomnąc swej przysięgi, oddać rękę.

Wszakże starzec głuchy, oślepły, stojący nad grobem, nie chciał przyjąć takiej ofiary, bo nie mógł dopuścić do tego, ażeby życie swoje związać z życiem tak młodej i pięknej istoty.

„Ja cię kocham“, zawołała donna Ludwika, przenikając jego myśli, wiedz o tem, że nie czynię tego z wdzięczności, iż siebie poświęcam, lecz z miłości i to ci udowodnię“.

I wówczas wzięła go za rękę i zaprowadziła do swojej sypialni.

„Stoisz nad grobem“, mówiła dalej, „wszakże umierając, zabierzesz ze sobą wspomnienie, żeś był kochany, więcej kochany od niejednego śmiertelnika, zabierzesz także pewność, że prócz ciebie, żadnego człowieka kochać nie będę“.

Tłom. Oka.

O modlitwo wspólna domu!
Ty, co chronisz dom od gromu
I od sromu — któż to zmierzy,
Jaka siła w tobie leży.

Wincenty Pol.

* * *

Człowiek szczęśliwy jest ten, który siły swoje pogodził z przedmiotami natury, zgadł jej zamiary.

Tomasz Zan.

* * *

Niedołężnemu głupstwu, wielkim nawet zbrodniom łatwiej wybaczyć, niż samolubnej małości.

Lucyan Siemieński.

Józef Trawiński.

Zaklęty staw.

Nad ciemnym stawem, pogięte dziwacznie,
Trzy wierzby stoją, jak trzy wiedźmy stare...
Co noc w nich wicher zawodzi rozpacznie,
Jakby przekleństwo głosząc, czy niewiarę...

Zwierciadło wody nieruchome, szare,
Pod skrzydłem jego czasem drgnie nieznacznie,
Jak człowiek nagle zobaczywszy marę,
I znowuż do snu układać się zacznie...

Żaden ptak tutaj, usiadłszy na drzewa,
Piosenki swojej dzwonnej nie zaśpiewa,
Lecz wnet ucieka, rozpuściwszy loty...

A gdy w głąb padnie promień księżycowy:
Jakiś płacz słychać z fali, krzyk echowy,
Pełen boleści i pełen tęsknoty...

Anegdoty z długiego życia.

Belgia, której ideologowie aspirują do stworzenia literatury „belgijskiej“, zamierza w bieżącym miesiącu uczcić sędziwego poetę, krytyka i moralistę Lemonniera, mającego powitać 65-tą „wiosnę“ swego żywota. Tymczasem Maurice des Ombiause w świeżo wydanem w Brukseli obszernem dziele opowiada bjografię poety, sypiąc obficie materyałem anegdotycznym.

Niektóre z tych anegdot zasługują na przytoczenie.

Gdy Lemonnier liczył zaledwie lat 16 w Brukseli bawił na wygnaniu Baudelaire. Poeta „Fleurs du Mal“ nie wiele miał do roboty, więc, jak to mówią, zbijał bruk w stolicy belgijskiej. Pewnego razu podczas przechadzki został potrącony przez nieznanego młodzieńca i to tak silnie, że kapelusz Baudelaire‘a wpadł w błoto. Zanim niezręczny młodzieniec zdołał przeprosić potrąconego, znalazł się trzeci przechodzień, który ze słowami: „Nie widzisz, błaźnie, że to wielki Baudelaire!“ — począł okładać przestraszonego chłopca... Los jednak, który miewa niekiedy i słoneczne

ironie, związał potem tych trzech ludzi z awantury ulicznej nicią przyjaźni na całe życie... Byli zaś to: Baudelaire, Lemonnier i — energiczny posiadacz kija — Józef Stevens, znakomity malarz świata zwierzęcego.

Inna anegdota dotyczy Wiktora Hugo, który, jak wiadomo, bawił również na wygnaniu w Brukselli. Marzeniem Lemonniera było poznać autora „Nędzników“, nie śmiał jednak zdecydować się na wizytę. Raz się odważył, ale, gdy pociągnął za dzwonek u drzwi Wiktora Hugo, przestraszył się swej odwagi i — drapnął sromotnie... Na ulicy zobaczył on poważnego, siwowłosego jegomościa, który zatopiony widocznie w myślach, podążył nieco chwiejnym krokiem w stronę mieszkania Wiktora Hugo.

— Tak — to on! — błysnęło nagle w umyśle Lemonniera... — To Wiktor Hugo.

I z wielkim szacunkiem, a zarazem ciekawością począł obchodzić do okoła „wielkiego poety“, radując się, że może obserwować jego „pracę myśli...“

Spotkawszy znajomego, pochwalił się przed nim swojemi „studyami“.

— Co? — zdumiał się znajomy. — To ma być Wiktor Hugo!... Ależ to kupiec win z mojego sąsiedztwa... I znów, jak widzę, wraca pijany...

Po klęsce pod Sedanem, Lemonnier tułał się z dwoma towarzyszami w okolicy pola bitwy. Nigdzie jednak niepodobna było znaleźć wolnego kąta. Wszędzie ranni i ranni... Nagle w jednej wsi spotykają w tej samej sytuacyi rysownika Ropsa. Ten obejmuje komendę i wydaje krótki rozkaz:

— Teraz chłopcy, zacznijcie kuleć!...

Z początku „podwładni“ nie zrozumieli rozkazu, lecz rychło zoryentowali się, że chodzi tutaj o „symulacyę“ rannych. Kulejąc tedy, jeden przez drugiego szli za swym dowódcą, który zaprowadził ich do odległego domu. Szczęśliwym trafem nie było tutaj rannych, ani chorych, w zacisznym zaś domku rezydowały dwie stare panny. Zobaczywszy kulejących i najwidoczniej „ciężko rannych“ żołnierzy, obiedwie poczciwe staruszki odstąpiły im swego pokoju, a same powędrowały do kuchni. Nazajutrz zdziwiły się nieco rychłemu wyzdrowieniu swych gości, ale niemniej podejmowały ich gościnnie. Dzięki fortelowi Ropsa czterej towarzysze mieli wyborną kwaterę.

Gdybyśmy odrzucili formy, obcowanie z ludźmi stałoby się istną torturą.

Józef Bliziński.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 13-ga marca 1600 wcielenie Estonii do Polski — 1863 traktaty w Warszawie na wyprawę turecką.

Dnia 14-ga marca 1585 zerwanie sejmu przez Grudzińskiego i związek na króla. — 1611 Rosyanie pobici pod Smoleńskiem. — 1633 synowie Zygmunta III składają przysięgę wierności. — 1801 śmierć Ignacego Krasickiego. — 1812 tajnym traktatem Austrya przyrzeka zwrócić zabór Polski.

Dnia 15-go marca 1034 śmierć Mieczysława II. — 1412 przymierze z Węgrami w Lubomli. — 1517 zwołany sejm do Włocławka. — 1794 powstanie jenerała Madalińskiego. — 1818 pierwszy sejm w Polsce kongresowej. — 1831 odezwa jenerała Dwernickiego do obywateli zabużańskich. — 1849 jenerał Bem zdobywa Hermanstadt.

Dnia 16-go marca 1331 Jan, król czeski, nadaje ziemię dobrzyńską Krzyżakom. — 1409 Krzyżacy wyrzynają w Wołkowysku lud zgromadzony w kościele. — 1797 wojewoda Tarło Adam ginie w pojedynku pod Marymontem.

Dnia 17-go marca 1238 śmierć Henryka Brodatego. — 1642 śmierć Józefa Zadzika, biskupa krakowskiego. — 1659 sejm nadzwyczajny w Warszawie. — 1826 śmierć Maksymiliana Ossolińskiego. — 1832 założenie towarzystwa demokratycznego polskiego.

Dnia 18-go marca 1241 klęska od Tatarów pod Chmielnikiem. — 1829 ogłoszenie wyroku sądu sejmowego.

Dnia 19-go marca 1503 śmierć Fryderyka Jagiellończyka, kardynała. — 1744 śmierć królowej Katarzyny Leszczyńskiej. — 1767 konferencya toruńska. — 1790 zasady konstytucyi sankcyonowane. — 1832 śmierć Adama Czartoryskiego, jenerała ziem podolskich.

Humor i satyra.

Przewidujący.

Znany ze skąpstwa bogaty kupiec Fogelnest, dorosłemu swemu synowi nie sprawia nigdy nowego ubrania, ale każe mu chodzić w przenicowanem ze swojego starego.

Pewnego razu potrzebując sukna na nowy dla siebie garnitur, idzie z nim do składu i ogląda materyały. Po pewnej chwili wybiera jeden z przedstawionych mu.

— Jak ci się Mojsie podoba ten kort? — zapytuje syna ugodziwszy materyał.

Zamiast odpowiedzi, syn odwraca kort na drugą stronę, i przygląda jej się uważnie.

— Co ty Mojsie patrzysz na drugą stronę, przecież nie po tej będę garnitur nosił.

— Tate tak — odpowiada syn rezolutnie, — ale ja tylko w przenicowanem ubraniu chodzę, więc mnie odwrotna strona przedewszystkiem interesuje.

* * *

Skuteczna rada.

Doktor. — Proszę pana, pańska żona nieco mi tyć zaczyna, zalecam więc jej, aby więcej chodziła niż siedziała. To jej pomoże niezawodnie.

Mąż. — Ależ panie doktorze, ją trudno skłonić do wyjścia z domu. — Cóż zatem mam robić, przecież, jej na ulicę nie wyrzucę?

Doktor. — I ja tego panu czynić nie radzę, ale daj jej pan ze sto marek, a zaraz zacznie biegać po sklepach i magazynierkach, i zdrowie w krótkim czasie odzyska.

* * *

Mądra żona.

Moja żono czuję się jakoś niedobrze — odzywa się doktor do swojej magnifiki. — Poślij służącą do apteki, aby mi przyniosła lekarstwo, które sobie przepisałem.

— Za nic mój najdroższy; nie mogę przecież pozwolić na to, abyś sam sobie własną ręką skracał życie.

* * *

Przekonywające.

— Powiadam ci mój kochany, że trzeba być ostatnim nieukiem, aby utrzymywać coś z całą stanowczością — mówi przyjaciel do przyjaciela.

— Czy jesteś tego pewny mój drogi? — zapytuje tenże z niedowierzaniem.

— Ależ najpewniejszy. Zawsze twierdziłem tak, i dziś twierdzę z całą stanowczością.

* * *

Dobre serce.

Sędzia do najętego zbója, który za dziesięć marek zabił człowieka:

— Jak mogłeś za taką nędzną sumę zabić bliźniego?

— Tak to bywa, — odrzecze łotr — gdy człek zanadto dobre ma serce.

* * *

W Galicyi.

Żyd, trzymający sad w arendzie, przychodzi do dziedzica ze skargą.

— Panie dżedzicu... te zbóje chłopcy to oni mi wczoraj całą gruszkę otrzęśli.

— Cóż ja ci poradzę? Nie mogłeś ich odpędzić?

— Kiedy ja się sam trząsłem bardziej niż gruszka.

* * *

Jak ksiądz wykrył złodzieja.

Księdzu ukradł ktoś pług. Ksiądz bierze cegłę na ambonę i woła:

— Jest tu jeden między wami, co mi ukradł pług; uciekajcie od złodzieja, bo rzucę cegłą w niego.

Ludzie odsuwają się na boki od tego, na którego mieli podejrzenie, a ten woła:

— Jegomość, nie rzucajcie! Zaraz pług wam odniosę.

* * *

Przecież go nie zjadł.

Żydek wchodzi do cukierni i żąda ciastka. Dają mu, a on pyta, ile kosztuje?

— Dziesięć fenygów.

Wtedy żydek oddaje ciastko i mówi:

— Proszę mi dać za to ciastko wódki.

Dają mu, wypija i odchodzi.

— Hej! żydku! zapłać za wódkę — woła kelner.

— Przecież ci dałem za nią ciasto.

— To zapłać za ciasto.

— Proszę panów — woła żydek — kto z was widział, żebym ja jadł ciasto?

* * *

Sprawiedliwy sędzia.

— Cóż Wojciechu, kontenci jesteśta z waszego nowego sędziego gminnego?

— Jeszcze jak! To okrutnie sprawiedliwy sędzia, bo zawdy tak jakoś ştucznie sądzi, że połowa prawujących się wygrywa, a druga połowa przegrywa.

* * *

Umie liczyć.

— Ile pan masz lat?

— Trzydzieści pięć.

— A ja czterdzieści.

— No, to za pięć lat będziemy w równym wieku.

* * *

Przyjaciel butelki.

— Jeśli pan chce, aby pańskie oczy były zdrowe, musisz zaprzestać pić koniak przed każdem jedzeniem, — odzywa się do znanego zwolennika alkoholicznych trunków okulista, po zastrzyknięciu mu kropli.

— Ależ to niemożliwe, panie doktorze — woła oburzony pacyent. — Wolę, niech mnie już oczy bolą.

— Co pan mówi, przecież może pan tym sposobem wzrok postradać.

— Niech będzie co chce, dla ratowania dwojga złych okien, nie mogę przecież ryzykować całego domu.

* * *

Wróg kobiet.

Pewnemu staremu, zgryźliwemu kawalerowi, opowiadano o młodzieńcu, który oświadczając się pannie przyklęknął na jedno kolano.

— Ja się mu nie dziwię, — odpowiedział — gdyż wierzę w metampsychozę jak Egipcyanie; musiała przed przyjściem na świat, w tego człowieka wejść dusza wielbłąda, który przyklęka, gdy ma być obciążony olbrzymim ciężarem!

ZAGADKA.

Ułożył czytelnik naszego pisma ks. Stanisław Sadowski, katecheta z Winnik pod Lwowem.

1	1						
2		2					
3			3				
4				4			
5					5		
6						6	
7							7

Litery oznaczone cyframi arabskiemi 1—7, tworzą nazwę gatunku szlachetnego drzewa.

1. Imię męskie.
2. Przeciąg czasu.
3. Okolica Galicyi.
4. Nazwa osławionej organizacyi policyjnej.
5. Odwieczny wróg Polski, (bez kropki nad literą „z.“
6. Sławny historyk polski XVIII. w.
7. Pożyteczna jarzyna.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 17-go marca włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie zagadki.

Rozwiązanie zagadki, zamieszczonej w numerze 9-tym.

Mistrz			
to	nów		
I	gna	cy	
Pa	de	re	wski
fun	da	tor	
pom	ni	ka	
Grun	wal	du	

Dobre rozwiązanie nadesłali do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 3-go b. m. następujące osoby:

Z Poznania: pp. Jadwiga Nieniewska, Karol Środecki (pseudonim).

Z W. Ks. Poznańskiego: pp. Stanisława Strzelecka z Strzelna, J. Wiewiórowski z Bagatelki pod Miłosławiem, Józefa Spychalska z Roska, M. Brukwicka z Modrzewia pod Stempuchowem.

Z Prus Zachodnich: p. Helena Gniatczyńska z Torunia.

Z Prus Wschodnich: p. Tadeusz Belakowicz ze Zawad.

Ze Śląska: pp. M. Biedowiczowa z Wrocławia, Matylda Knopik ze Zabrza II., Klara Musielak z Rozbarku, Jan Badura z Roździenia, M. J. Szczurek z Cieszyna i Jan Moś z Czechowic (Śląsk austryacki).

Z obczyzny: pp. Stanisław Wegner z Berlina, Cezary Dużyński z Neuwelzow.

Nagrodę otrzymali: pp. Augustyn Zdun z Krakowa, Józefa Spychalska z Roska i Jan Moś z Czechowic.

Z Galicyi: pp. Marya Świtkowska, Augustyn Zdun, Władysław Fiala, Adam Świerkosz, Antoni Rybski z Krakowa, Hipolit Wodecki z Ropczyn, A. Rejmanówna z Łąki pod Strażowem, Stanisława Chorążanka (nie podano miejsca zamieszkania), Piotr Brożbar z Jarosławia, Józef Drewko z Suchodoła, M. Kofciński z Żarek.

CHARCIARZ.

Obrazek myśliwski.

Napisał

JORDAN.

(Dokończenie).

— Mój Boże! — krzyknął zrozpaczony Kacper, na widok swego wierzchowca — czy się zabił?...

— Na miejscu — odparł gajowy.

— Ale co mu się stało? — biadał dalej pan Kacper — on zwykle spokojny, jak dziecko, rzucił się zemną wściekły, uniósł mnie z taką gwałtownością, żem się w siodle utrzymać nie mógł... co mu się stało?!

— Lis go chwycił za udo i wpił mu się w mięso — odrzekł pan Albin.

— Jaki lis? — spytał pan Kacper, zbierając myśli...

— A ten, coś go przytroczył.

— No, przecież był zaszczuty.

— Ale nie na śmierć.

— Jakto?... ja sam go troczyłem.

— To nic WPanie wtrącił gajowy — lis panie, tak się umie zaczaić, że i samego dyabła oškapi... niech ino pan zobaczy, jak się ta bestya koniowi wpiła w udo.

— Mój Boże!... mój Boże! — załamywał ręce pan Kacper, podchodząc do bułanka — biedny mój przyjacielu!...

— A to wszystko przez tę przeklętą trzynastą skórkę — szepnął Sobek.

— Mówiłem, że feralna — dodał cicho pan Anastazy — co najgorsza, że znów lisiury nie będzie, bo skórka poszarpana na strzępy... znów się gotów przymawiać.

— Bądźcie spokojni — odrzekł pan Kacper, który te złośliwe szepty posłyszał — już nigdy więcej lisa troczyć nie będę... z tych dwunastu skórek, które mam, każę kurtę zrobić... wolę chodzić kuso, jak życie moje narażać.

— Nie trza się zarzekać WPanie — zauważył gajowy — lisa można troczyć, ale po uszczuciu, albo mu się z pistoletu pali w ucho, albo mu trzeba wietrznik tęgim kawałem drzewa roztrzaskać.

Tak niefortunnie zakończone łowy odebrały już myśliwym do dalszych wycieczek chęć wszelką; wieczór też robił się już na dobre... chłód jesienny stawał się dotkliwym... wstąpiono więc tylko do Leśniczówki, i po zalaniu smutku kilkoma miarkami chlebówki, pan Kacper zdrzemnął się na łóżku gajowego, wysławszy chłopaka po brykę, reszta zaś myśliwych, puściła się z psami do domów.

Najbardziej zasępionym był pan Albin; po świeżych, a tak silnych wstrząśnieniach, chlebówka na słabą jego mózgownicę, silniejszy jak zwykle wpływ wywarła. Przez całą drogę do domu, stał mu przed oczyma, to pokrwawiony biedny Kacper, to poczciwy bułanek, który chciwość swego pana na skórkę, tak smutnie życiem przypłacił. Jechał też pan Albin w milczeniu, a wzdychał... ciężar jakiś pierś mu tłoczył... przeczuwał jeszcze coś strasznego, ale sobie sprawy z tego przeczucia zdać nie mógł. Są chwile w życiu człowieka, z których sobie sprawy zdać nie umie — popada wtedy w jakiś stan trwogi bezwiednej, w jakąś obawę, ciemną, niejasną, nieokreśloną, — w myśli szuka powodów, których odnaleźć nie może, a jednak tkwią one na dnie duszy, jak ów niepokój ogarniający ptaszynę, przed zbliżającą się burzą, której pozornie nic jeszcze zapowiadać się nie zdaje.

— Feralny to był dzień jakiś — mruczał sobie pod nosem pan Albin — ten Felek... ten szelma Felek... — mruczał dalej,przywodząc sobie na pamięć krótkiego szaraka, o długich zadnich skokach, który go z rana, dwukrotnie wyprowadził w pole.

— Czekaj kanalio — szeptał dalej — ty myślisz, że ja cię jutro znów w tych podorach szukać będę?... o nie!... bądź spokojnym... raniutko, skoro świt, założę pod wiatrak, na twą dawną siedzibę, znam ja tam twoje dwie kotlinki, znam nicponiu... jedna, na piętnastym zagonie od rżyska, druga na dziesiątym od koniczyny... Tak kochasiu... jutro, skoro świt, wezmę pieski na smycz, słoninkę w kieszeń... i poproszę cię w taniec; zajadę cię najprzód od koniczyny, żebyś mi się w kapuśniki nie dostał... o... o... bo ty kochasiu lubisz te kapuściane bruzdy, z których już ci słuchów nie widać... ale bądź spokojny... zajadę cię od koniczyniska, i poszczuję ku wsi,.. wątpię, żebyś kochasiu zmykał między wiejskie kundelki: będziesz więc musiał skręcić na grochowczysko, a tam mój Feleczku... trochę ci się łapki między grochem piątać będą... i tych twoich szpryńców, nie będziesz mógł wyprawiać. A jakby cię w tej kotlinie nie było, to my cię z pieskami poszukamy na piętnastym zagonie od rżyska... tam puszczę na ciebie Skoczkę i Siwkę... a sam ze Ścigajem zostanę na miedzy. Skoczka i Siwka cię nie wezmą... to wiem, ale że ci dadzą kilka obrotów, to także wiem. Dopiero, jak się kochasiu puścisz, starym twym szlakiem po miedzy, wtedy ci serdeńko puszczę Ścigaja do tańca, i poharcujecie sobie szydłem po wązkiej miedzy, póki ci Ścigaj na grzbiecie nie siądzie i za kark nie pochwyci; a jeżeli myślisz Feleczku, że mi się przegoną nad łąką wymkniesz, to się grubo mylisz... bo tam teraz woda ze strugi wylała, i użyłbyś kiepskiej kąpieli... a że wiem, żeś elegant... kusy, opięty, że się kataru boisz i łapki niechętnie maczasz, więc jestem o tę przegonę spokojny... Tak mój Feluniu... tak, do widzenia jutro... skoro świt...

I na tę myśl, raźniej się panu Albinowi zrobiło, tem raźniej, że zdala widać już było dwór w Zajączkach, widać było dym, który się z komina wzbijał na kilkanaście łokci, i biegł między wierzchołki kasztanów, okalających jego siedzibę. Gwizdnąwszy na pieski, które po całodziennem utrudzeniu leniwie wlokły się do domu, i upewniwszy się, że uszczuty u pana Anastazego zając, mocno jest u siodła przytroczony, westchnął raz jeszcze nad biedną dolą bułanka, nad poszarpaną lisią skórką, nad poranionym Kacprem, który straciwszy wierzchowca, kusą tylko mieć będzie lisiurkę — i popędził tęgim kłusem ku domowi, rad, że sobie plan kampanii przeciw Felkowi, tak świetnie i strategicznie ułożył.

Przed dworem, spostrzegł ruch jakiś niezwykły; dziewki biegały, jak oparzone, z szaflikami i nieckami, chło-

pak niósł tęgą wiązkę siana do siennika, a na ganku, ujęta pod pachy komenderowała pani sędzina Ostrzycka.

Pan Albin, na widok swojej teściowej, spuścił trochę z tonu, i zajechał mniej buńczucznie, jak sobie w duszy zamierzał. Zwykle, przy wjeździe koło trawnika, lewą łydką ściskał Biederkę, która wtedy z prawej nogi, lekkiego utrzymała kurcgalopka; tym razem, w kłusie tylko zajechał, i puszczając samopas Biederkę do stajni, a charty do psiarni, co prędzej na ganek pospieszył.

Oko w oko, spotkał się ze świekrą.

Przez chwilę milczeli oboje... wzrok sędziny był groźny i chmurny, — Albina, lękliwy i nieśmiały.

Sięgnął po jej żylastą łapkę, chcąc na niej wycisnąć obowiązkowy pocałunek... ręka cofniętą mu została.

— Czy mnie pani mama nie poznaje?

Sędzina milczała.

— To ja, Albin Ścigalski... zięć...

— Zięć? — przecedziła przez zęby — a prawda... zięć... tak jest... zięć... śliczny zięć... kochany zięć..

— Przepraszam, ale nie bardzo te epitety rozumiem...

— Zięć?! — powtórzyła gniewnie. — A gdzie Pomagalska?!!

— Pomagalska? — spytał pan Albin, zbierając myśli — Jezus Marya! — krzyknął, chwytając się za głowę, cel bowiem wycieczki, stanął mu teraz przed oczyma, ale w tejże samej chwili, oprzytomniał, obawa gwałtownej sceny, podsunęła mu genialną myśl obełgania świekry, uspokoił się więc zupełnie, i zabełkotał niewyraźnie.

— Pomagalskiej... na nieszczęście... nie tego... nie zastałem...

— Gdzież była?

— Pojechała... tego... do kogoś...

— Do kogo?...

— No juści nie do mężczyzny... do jakiejś pani.

— Do jakiej?

— No, naturalnie do takiej... co się... tego... spodziewa...

— Więc z czemżeś asan wrócił?

— Z zającem... ee... to jest... chciałem powiedzieć... z niczem.

— I Pomagalskiej nie zastałeś?...

— Nie zastałem... inaczej byłbym ją przywiózł...

— Na koniu? — pytała nieubłagana świekra.

— Ale... o... byłbym wziął pocztę... extrapocztę... ale cóż kiedy jej nie było...

— Tego tylko brakło! — zawołała gniewnie sędzina, chwytając go za rękę — proszę z sobą...

— Ale przepraszam mamę...

— Proszę z sobą!!

— Muszę się trochę przebrać... jestem zbłocony, jak pies!

— Proszę z sobą!!! — wołała, ciągnąc biednego zięcia przez sień, i wprowadzając gwałtem do pokoju.

Oczom pana Albina przedstawił się obraz, przypominający potroszę prowincyonalną Małgorzatę w Fauście. Przy dużym okręgłym stole, siedziała baba pękata, w ogromnym szafranowym czepcu, z okularami na nosie, i niebieską pończochą w ręku.

Pan Albin ręce załamał, była to pani Pomagalska.

— Zginąłem, jak ruda mysz! — pomyślał sobie w duszy.

— Oliwa wyszła na wierzch!... kłamstwo się wydało haniebnie!! — zawołała pani sędzina — biedna moja Zosia... której mąż tak dba o żonę, jak ktoś o piątą nogę. Gdzieżeś asan był?!

— To widać... obełgano mnie! — bronił się pan Albin — ale zkąd baba się tu wzięła?

— Zkąd?... prosto z miasta przyjechała do Zajączek.

— Któż posłał?

— Ja!... Matka... matka nieszczęśliwa!... posłałam bryczkę, bo u mnie w głowie nie zajączki... ale los i życie mej córki...

— A czemuż mnie mama, jak posłańca wypchnęła z domu?

— Sądziłam, że pojedziesz, jak człowiek, a tyś poleciał, jak waryat!

— Jak waryat?

— A naturalnie... konno... słyszał kto?... konno!... a czyż to Pomagalska zabrałaby się konno z panem zięciem?

— Pani sędzino!... matko!... darujcie!... jeślim poleciał, jak waryat, to tylko z obawy o Zosię, którą kocham nad życie!... jakżeż ona się ma?

— A śliczna miłość!... kiedyś nawet wcale nie był w mieście.

— Nie byłem?... no tak... co tu łgać dłużej! nie byłem... ale jak się Zosia ma? — dodał, pchając się we drzwi sypialni...

— Za pozwoleniem! — zawołała sędzina, zastępując mu drogę. — Nie byłeś w mieście, więc gdzieżeś był?

— Gdziem był?... no to potem opowiem... wszystko opowiem... ale przedewszystkiem, jak się ma Zosia?

— Gdzieś był?! — pytała dalej nieubłagana sędzina — nie pójdziesz do Zosi, póki mi całej prawdy nie odkryjesz... gdzieś był?!

— Gdziem był?... o Boże zmiłuj się!... to dużo byłoby opowiadać... gdziem był?... a to... leciałem, jak waryat... patrzę, a tu charty lecą za mną... staję... wołam „a do domu!“ ale psy ani słyszeć o tem nie chciały... rad nie rad, zjechałem z niemi z drogi, przełożyłem przypadkiem przez rżysko, wpadłem na zająca, psy za nim, i... wzięły go!... Byłbym zaraz wrócił... ale znów spotkałem się z Anastazym, Kacprem i Sobkiem. chciałem drapać... ale że to zająca, na ich gruncie uszczułem... nie wypadało... podjecnałem więc... no... i...

— No i cóż?

— Ale jak się Zosia ma?...

— Cóż dalej? — badała nieubłagana świekra — Zosi nie zobaczysz, póki wszystkiego nie wyśpiewasz.

— Co mam śpiewać? — odburknął p. Albin, zbierając się na chwilową odwagę. — Oni wyjechali na polowańko... ja.. bezwiednie... ot tak... jak tu stoję... powlokłem się za nimi.

— Mój Boże!... a tu moja biedna córka...

— Jak się to stało... nie wiem... urżnij połę... zapomniałem się... Pan Bóg mi odjął rozum... a przytem ten szelma Felek, czmerał mi po głowie... potem... czmerała mi chlebówka... potem awantura z lisem... Kacper zabity.

— Kto? pan Kacper zabity!

— To jest... chciałem powiedzieć bułanek.

— Asanu i teraz jeszcze coś czmera po głowie. Oto są te pańskie polowańka!... polowańka!!... dla których się i żonę poświęca...

— Nigdy!.... — zawołał patetycznie biedny zięć — było to jakieś dopuszczenie boskie... jakieś złe... o!... dla mojej Zosi wszystko poświęcę!

— Prócz polowańka...

— Ale jakżeż się ma?

— Toś już asan wszystko wypowiedział.

— Wszystko... jak Boga kocham... jak na świętej spowiedzi... ale pozwólcież mi pójść do żony...

— Jeszcze nie można.

— Dla czego?

— Bo śpi, ale jeśliś ciekawy, to ci Pomagalska syna pokaże.

— Syna?! — zawołał uradowany, roztwierając ramiona.

— Tak, i tęgiego chłopaka.

— Matko droga!... więc mi przebaczasz!! — krzyknął poczciwy charciarz, wybuchając płaczem radości, i rzucając się w objęcia również rozrzewnionej świekry. — Widzisz, że polowańko, to nie zbrodnia... jedno drugiemu nie przeszkadza.

— Przebaczam tym razem, bo się szczęśliwie skończyło... i zresztą syn cię odkupuje z grzechu twego, ale pamiętaj!.. na drugi raz...

— Na drugi raz, urządzę się tak, aby to w porze letniej, a nie w czasie polowań wypadało .

— Idź ty... niepoprawny!... — zadąsała się na w pół uśmiechnięta sędzina.

Uszczęśliwiony Albin porwał świekrę i młynka z nią wykręcił, potem wpadł do pokoju, jak Faust namiętny, chwycił grubą Małgorzatę, w szafranowym czepcu, z okularami na nosie, a za chwilę tulił już do swej piersi, wykąpanego, tęgiego bębna, który darł się w niebogłosy.

— A co?... jaki ma głos — zauważyła dumna z wnuka teściowa.

— Zupełnie tak wrzeszczy, jak zając kiedy go charty biorą — odparł Albin.

— Tobie znów polowanie w głowie.

— Ale niech Bóg broni, moja matko... jam tak szczęśliwy, że gotówbym...

— No cóż?... gotówbyś się wyrzec polowania?

— Nie... ale gotówbym, drugą smycz chartów zafundować... dla mego syna.

— To jeszcze ma czas! — odrzekła sędzina, śmiejąc się w duszy z tej żyłki.

— Ale, ale — spytał Albin — a jakież damy mu imię?...

— Feliksa.

— Feliksa?... dla czego?

— Nasamprzód, memu nieboszczykowi, a jego dziadzi, tak było na imię... powtóre, to imię oznacza szczęście... i brzmi ślicznie — Feliks, Felunio, Felek.

— Felek, Felek, szelma Felek — mruczał pod nosem pan Albin, przypominając sobie poranną konfuzyę, i świetny plan kampanii jutrzejszej, ułożonej na gracza zająca tego imienia — Felek — dodał w duszy. — Mój Boże! czemu się dzień później nie urodził... Ha!... kiedy jednak taka była wola boska... trudno... to już chyba zrobię ofiarę i na pamiątkę mego syna... daruję szelmie życie!...

Kazimierz Kalinowski.

Śpiąca królewna.

(Z UST LUDU).

W gór ustroniu jest zacisze: nad ruczajem las dębowy... Kiedy liściem wiatr kołysze, las dziwnemi szepce słowy...

A te szepty któż rozumie w tajemniczym lasu szumie? Tutaj codzień przed wieczorem stary dziadek ze skrzypkami przesiadując popod borem, sercem słucha, patrzy łzami; zadumany na pniu drzewa, gęślarz śpiewa, śpiewa, śpiewa...

Szept lasu rozumie,
powieść jego zna;
zaśpiewać ją umie,
gdy na gęśli gra...

...„Gdzie dziś stare dęby rosną, gdzie murawa dziś się ściele, kędy ptactwo żyje wiosną, tu, lat temu bardzo wiele, zamek możny stał nad rzeką pod dzielnych tych gór opieką.

A rycerze w stal odziani, dzień i nocą zamku strzegą, gdzie królewna, piękna pani, a władczyni zamku tego, ubóstwiana przez swe sługi, w szczęściu wiedzie żywot długi...“

Szemrze strumyk w dali,
zcicha szumi gaj...
śpiewaj, starcze, dalej,
grajże, grajku, graj!...

„Szczęście w zamku długo trwało. Ale na tym łez padole zwykle szczęścia bywa mało... Zesłał tedy Bóg niedolę na królewny zamek stary, kiedy brakło w Boga wiary.

Gdy rycerze wszczęli zwady, miast wierności dla swej pani, nie wahali się już zdrady — na sąsiadów łaskę zdani, swą królewnę im wydali — a ci zamek zrabowali.

Szemrze strumyk w dali,
zcicha szumi gaj...
śpiewaj, starcze, dalej,
grajże, grajku, graj!...

„Do królewny urodziwej sercem płonął sąsiad młody; sercem płonął, więc czyż dziwy, że ją porwał i na gody wiódł do siebie, zamek wprzódy jej zabrawszy — mimo trudy...

Ale królewna niewzajemną była jemu...

Czyż przebaczy napaść jego tak nikczemną?...

Leje w smutku łzy rozpaczy... A z nieszczęsną żal podziela ludzi wiernych sług niewielu...

Szemrze strumyk w dali,
zcicha szumi gaj...
śpiewaj, starcze, dalej,
grajże, grajku, graj!...

„Ciemną nocą z domu złego biedna pani raz ucieka, lubo komnat jej wciąż strzegą, lubo na nią pan jej czeka...

I uciekła z garstką małą sług kilkorga, co zostało...

Gdzie stał zamek, przyszli społem — i zastali już ruiny...

Tu królewna padła czołem, jak matka na grób dzieciny i płakała z żalu szczerze — a z nią wierni jej rycerze...

Szemrze strumyk w dali,
zcicha szumi gaj...
śpiewaj, starcze, dalej,
grajże, grajku, graj!...

„Żal Najświętszej Matce było tak serdecznych łez królewnej, uśpiła ją tedy siłą, ukoiła snem płacz rzewny...

Gdy królewna już usnęła — i rycerzy senność wzięła...

Tak śpią tutaj w wieczne czasy, a królewna śpiąca z nimi. —

Z śpiących wzrosły dębów lasy, mury zamku znikły w ziemi...

Tylko czasem dęby jęczą, gdy królewnę sny zbyt dręczą...“

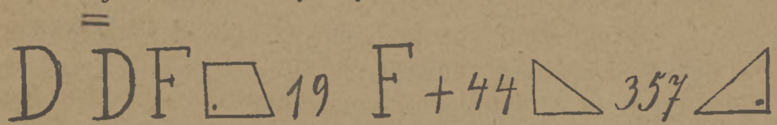
Jęki dziad rozumie,
powieść lasu zna...
słucha wciąż w zadumie
i na gęśli gra...

WYDRĄŻONA IGŁA.

Z francuskiego tłum. **R. S.**

(Ciąg dalszy.)

W jaki sposób? Trzymając się wskazówek i znaków zawartych w czwartej linijce:



Beautrelet utworzył sobie hipotezę opartą na logice samego dokumentu, że, jeżeli jest rzeczywiście jakie połączenie między lądem a obeliskiem Igły, musiało się schodzić do podziemia z owej pieczary, przejść pod fortem Fréfossés i zejść prostopadle owe sto metrów skały i jakim podmorskim tunelem dojść do wydrążonej Igły.

A wejście do podziemia? Czy nie oznaczają te dwie litery DF, tak wyraźnie wyrżnięte, które może dadzą się otworzyć za pomocą jakiego mechanizmu?

Całe rano następnego dnia, Beautrelet wałęsał się po Etretat, rozmawiając z ludźmi, sądząc, że dowie się jakich pożytecznych wiadomości. Dopiero po południu udał się na wybrzeże. Przebrany w ubiór majtka, odmłodził się jeszcze i wyglądał na chłopca dwunastoletniego w krótkiej jaczce i rybackich spodniach.

Wszedłszy do pieczary ukląkł przy znanych sobie literach. Czekał go srogi zawód. Pomimo pukania, mimo parcia na nie, mimo wszelkich manipulacyj litery nie drgnęły. Przypatrzywszy im się dokładniej, zauważył, że rzeczywiście nie mogły się ruszyć.

A mimo to... miały jakieś znaczenie! We wsi mówiono mu, że dotychchczas nikt nie umiał sobie wytłómaczyć znaczenia owych liter, a ksiądz Cochet w swojej książce o Etretat bezskutecznie zastanawiał się nad tym rebusem. Lecz Izydor wiedział to, czego nie mógł odgadnąć uczony archeolog normandzki, że dwie takie litery znajdują się w dokumencie. Czyżby to był tylko zbieg okoliczności? Nie możliwe. W takim razie...

Naraz zabłysła mu myśl jasna i prosta. Litery D i F są to dwa inicyały dwóch najgłówniejszych słów, które tworzą jakoby stacye drogi do Igły: D od słowa Demoiselles, F od Frefossés. Zestawienie to tak prawdopodobne, że nie może być zrządzenie ślepego przypadku.

Rzecz musi się więc tak przedstawiać:

Grupa liter DF oznacza, że egzystuje połączenie między pieczarą a fortem Fréfossés, zaś litera D, która stoi na początku linijki, oznacza, że najpierw trzeba wejść do groty Demoiselles. Litera F stojąca w środku owej linijki, oznacza niezawodnie fort Frefossés, to jest wejście do podziemia.

Między temi rozmaitemi znakami widzimy nierówny czworobok, w którym na lewo na dole znajduje się kreska i liczba 19, wskazującą środek, jakim można się dostać do podziemia, dla tych, którzy znajdują się w pieczarze.

Izydora Beautrelet zaciekawiała forma czworoboku. Czy znajdzie może na murze pieczary jaki znak, który choć w przybliżeniu będzie posiadał tę formę?

Długo szukał i już chciał zaniechać dalszych poszukiwań, gdy oko jego padło na mały otwór wykuty w skale, który tworzył niejako okno pieczary.

Otóż komtury tego okna znaczyły czworobok, nierówny i niezdarny, lecz mający zawsze formę czworoboku i Beautrelet zauważył równocześnie, że stawiając obie nogi na D i na F, wyrżnięte na ziemi — i w ten sposób można było zrozumieć dwie kreski znajdujące się nad dwoma literami w dokumencie — znalazł się w równej wysokości z oknem!

Zajął więc ową pozycyę i patrzał. Z okna tego był widok na stały ląd, jak już powiedzieliśmy. I Beautrelet widział najpierw ścieżkę, zawisłą nad przepaścią, która łączyła pieczarę ze ziemią, następnie zauważył podstawę wzgórza, na którem wznosił się fort.

Chcąc zobaczyć fort, Beautrelet przechylił się z lekka na lewo i w tedy to zrozumiał, jakie znaczenie miała owa kreska w czworoboku, podana w dokumencie. Na dole bowiem z lewej strony okna, znajdował się wysunięty kawałek krzemienia, którego koniec zakrzywiony był w formie pazura.

A gdy przyłożył oko do tego punktu, padał jego wzrok na ograniczoną przestrzeń pagórka, leżącego na przeciwnej stronie. Był to mur z cegieł, jaka resztka starego fortu, lub może rzymskiego szańca.

Beautrelet pobiegł do tego muru, długości może z dziesięć metrów, którego powierzchnia porosła była chwastem. Lecz nie zdołał nic znaleźć.

Cóż może znaczyć cyfra 19?

Wrócił do groty, a wyjąwszy z kieszeni kłębek szpagatu i centymetrówkę, rzeczy, w które się zaopatrzył, przywiązał szpagat na owym wystającym krzemieniu, a odliczywszy 19 metrów, zrobił węzeł i przerzucił przez okno. A wyszedłszy z pieczary, wziął węzeł w rękę. Lecz długość odmierzonego szpagatu dosięgała zaledwie początku ścieżki.

— Głupiec ze mnie, pomyślał Beautrelet. Czy mierzono na metry w ówczesnej epoce? 19 znaczy 19 sążni, lub nie znaczy nic.

Dokonawszy wyliczenia odmierzył na szpagacie, zrobił węzeł i przerzucił przez okno pieczary. Następnie pobiegł znowu na drugą stronę i starał się dokładnie odnaleźć miejsce, któreby węzeł trzymany, w odległości trzydziestu siedmiu metrów mógł dotknąć swobodnie przeciwległego muru szańca.

Po pewnym czasie znalazł to miejsce. Wolną zaś ręką odgarnął chwasty.

Wtem wydarł mu się okrzyk. Węzeł, który przytrzymywał wielkim palcem, leżał w samem środku małego krzyża z żelaza wbitego w cegłę.

Tak samo w dokumencie znak, który następował po liczbie 19, był krzyż!

Potrzebował użyć całej siły woli, aby zapanować nad wzruszeniem. Prędko palcami pochwycił krzyż i naciskając równocześnie okręcił jak kołem. Cegła poruszyła się. Powtórzył obrót, lecz niczego nie dokazał. Wtenczas bez obraca-

nia nacisnął mocniej. Miał wrażenie, że usuwa się. I w tejże chwili posłyszał hałas otwierającego się zamku, a na prawo od owej cegły, na szerokość metra, mur usunął się ukazując wejście do podziemia.

Jak szalony, Beautrelet pochwycił żelazne drzwi, w które cegły były wmurowane i z impetem je zatrzasnął. Zdziwienie, radość, strach, aby nie być zaskoczonym, zmieniły jego twarz do niepoznania. Miał widzenie wszystkiego, co się tu działo przez dwadzieścia wieków, widział wszystkich ludzi, znających sekret, przechodzących tem ukrytem wejściem:

Celtów, Galów, Rzymian, Normanów, Anglików, Francuzów, baronów, książąt, królów, a za tymi wszystkimi postępował Arsen Lupin... a za nim, on Beautrelet... Czuł, że mózg chce mu rozsadzić głowę. Zmrużył więc powieki i upadł zemdlony i pokulał się na sam koniec pochyłości, nad brzeg przepaści...

Jego praca była ukończona, a przynajmniej ta praca, którą sam mógł był wykonać, rozporządzając własnemi środkami.

Wieczorem napisał do szefa policyi długi list, w którym opisywał swoje poszukiwania i wyjawił sekret o wydrążonej Igle. Prosił o pomoc do ukończenia dzieła i podał swój adres.

Czekając na odpowiedź, przebył dwie noce w pieczarze Panien. Przebył je, drżąc ze strachu za każdym nocnym szelestem... Co chwila zdawało mu się, że widzi jakieś cienie, zbliżające się do niego... Wiedziano o jego obecności w pieczarze... przychodzono... i mordowano go.

A wzrok jego, podtrzymany całą siłą woli, spoczywał nieruchomo na przeciwległym odłamie muru.

Podczas pierwszej nocy nic się nie ruszyło, lecz podczas drugiej, przy słabem świetle gwiazd i wązkim sierpie księżyca, Beautrelet ujrzał otwierające się drzwi, i kilka cieniów wyłaniających się z ciemności. Liczył dwa, trzy, cztery, pięć...

Zdawało mu się, że tych pięciu ludzi unosiło jakieś ciężary, dużych rozmiarów. Szedł za nimi w znacznej odległości. Przeszli oni prosto przez pola, kierując się do drogi, która prowadzi do Havru, zdala rozpoznał dyszenie automobilu.

Wracając tą samą drogą, przechodził właśnie koło wielkiej farmy. Lecz będąc na zakręcie drogi, miał ledwie tyle czasu, aby wskoczyć do rowu i ukryć się za drzewem. Znowu bowiem kilku ludzi przechodziło, czterech... pięciu... a wszyscy obładowani pakami. A dwie niestety później, drugi automobil odjeżdżał.

Tym razem nie miał siły wrócić na swój posterunek, zawrócił więc do Etretat i położył się.

Rano, następnego dnia chłopak przyniósł mu list. Otworzył. Była karta Ganimarda.

— Nareszcie! wykrzyknął Beautrelet, gdyż czuł potrzebę jakiej duszy ludzkiej, któraby mu pomogła w tej srogiej walce.

Wyszedł więc z wyciągniętemi rękoma. Ganimard pochwycił je, przez chwilę patrzał na niego z podziwem, wreszcie rzekł:

— Jesteś pan wytrwałym człowiekiem.

— Ba! Przypadek mi dopomógł.

— W walce z nim, niema przypadku, rzekł Ganimard, który zawsze o Arsenie Lupin mówił tonem uroczystym, nie używając jego nazwiska. Usiadł.

— Więc trzymamy go nareszcie?

— Tak, jak go trzymaliśmy już z jakie dwadzieścia razy, odrzekł śmiejąc się Beautrelet.

— Lecz, przecież dzisiaj...

— Rzeczywiście, dzisiaj rzecz inaczej się przedstawia. Znamy jego kryjówkę, jego fortecę, to wszystko, co stanowi, że Arsen Lupin jest Arsenem Lupin, czyli zwykłym śmiertelnikiem. On może umknąć. Lecz Igła d'Etretat zostanie.

— Z jakiego powodu przypuszczasz pan, że uciecze? spytał niespokojnie Ganimard.

— Dlaczego pan przypuszczasz, że będzie potrzebował uciekać? zapytał Beautrelet. Nie mamy przecież pewności, że znajduje się obecnie w wydrążonej Igle. Tej nocy jedenastu ludzi stamtąd wyszło. Może znajdował się między tymi jedenastoma!

Ganimard zastanowił się.

— Masz pan słuszność. Rzecz najważniejsza, to wydrążona Igła. Miejmy nadzieję, że i reszta nam się powiedzie. A teraz słuchaj.

Przybrał znowu poważny ton, i odezwał się o ważności swej sprawy przekonanym głosem:

— Kochany mój Beautrelet, mam rozkaz zalecenia panu absolutnej dyskrecyi à propos tej sprawy.

— Rozkaz... czyj, rzekł żartując Beautrelet. Czy prefekta policyi?

— Wyżej.

— Prezydenta rady?

— Wyżej.

— Czyj więc?

Ganimard zniżył głos.

— Beautrelet, jadę wprost z Pól Elizejskich. Uważają tę sprawę jako sekret państwa, niezmiernej wagi. Są poważne powody, dla których chcą, aby została nieznaną ta niewidzialna cytadela... ze strategicznych względów nadewszystko... Można będzie ją użyć w celach dowozu żywności, jako prochownię, jako przechowanie nowo wynalezionych pocisków, czyż — ja wiem? Można będzie utworzyć nikomu nieznany arsenał Francyi.

— Lecz w jaki sposób chcą zachować tego rodzaju tajemnicę? Dawniej jeden człowiek o niej wiedział, król. Dzisiaj jest nas kilku, którzy ją znają, nie licząc bandy Arsena Lupin.

— Gdybyśmy tylko zapewnili sobie dziesięć lat, choćby pięć lat milczenia!... Te pięć lat... to zbawienie.

— Lecz, ażeby opanować tę cytadelę, miejsce przyszłego arsenału, trzeba na nią natrzeć, trzeba z niej wyrzucić Arsena Lupin. A wszystko to nie robi się bez rozgłosu.

— Z pewnością ludzie się domyślać będą, lecz nie będą mieli pewności. Cóż nas to kosztuje, spróbujemy.

— Dobrze. Jakiż więc jest pański plan?

— Powiem panu w kilku słowach.

— Najpierw nie jesteś pan Izydorem Beautrelet i nie chodzi tu wcale o Arsena Lupin. Jesteś pan i pozostaniesz rybackim chłopcem z Etretat, który wałęsając się, ujrzał jakichś ludzi wychodzących z podziemia. Z tego pan wznosisz, że egzystują tam jakieś schody wykute w skale.

— Tak, kilka takich schodów znajduje się już wzdłuż brzegu. Na prawo od Etretat wzmiakowano mi, naprzeciw Bénouville, schody Dyabła, znane wszystkim kąpiącym się. Już nie mówię o trzech czy czterech tunelach rybackich.

— Tak więc poprowadzisz pan mnie i połowę moich ludzi. Wnijdziemy sami lub zabierzemy z nich kilku, nad tem zastanowimy się jeszcze. Jeżeli Lupin nie będzie się znajdował w Igle, zastawimy na niego zasadzkę, w którą nie dziś, to jutro wpadnie. A jeżeli będzie...

— Jeżeli będzie, to uciecze jakiem wyjściem od strony morza.

— I w takim razie będzie niezwłocznie pochwycony przez drugą połowę moich ludzi.

— Tak, lecz jeżeli, jak przypuszczam, wybrałeś ku te-

mu czas, w którym morze ustępuje, uwidoczniając podstawę Igły, polowanie stanie się publiczne, i będzie widoczne dla wszystkich rybaków i rybaczek, szukających ślimaków, krabów i muszli, od których się roi całe wybrzeże.

— Dla tego też wybiorę chwilę w której morze będzie pełne.

W takim razie uciecze w łodzi.

— A ponieważ wysforuję z jakie dwanaście łodzi rybackich, z których każda będzie pod kierunkiem jednego z moich ludzi, pochwycą go więc...

— Jeżeli nie wyśliźnie się po przez te dwanaście łodzi, jak ryba z matni.

— W takim razie, poszlę go na dno morza.

— Czy masz pan armaty?

— Mój Boże, tak. W Havrze stoi obecnie torpedowiec. Na telegram odemnie stawi się w oznaczonej godzinie i na oznaczonem miejscu.

— Torpdowiec! Dopiero Lupin będzie dumny! Jak widzę, panie Ganimard, wszystko przewidziałeś. Nie pozostaje nam nic jak ruszyć w drogę. Kiedy pójdziemy?

— Jutro.

— W nocy?

— Nie, w biały dzień, podczas przypływu morza, z wybiciem godziny dziesiątej.

— Doskonale.

Pod pozorem wesołości Beautrelet ukrywał okropny niepokój. W nocy oka nie zmrużył i tworzył najdziwaczniejsze plany.

Ganimard udał się do Yport, oddalonego o kilkanaście kilometrów od Etretat, gdzie z przezorności wyznaczył swoim ludziom miejsce spotkania. Tam najął dwanaście rybackich łodzi pod pozorem zbadania brzegu.

Punktualnie o trzy kwandranse na dziesiątą, pod eskortą dwunastu ludzi spotkał się Ganimard z Izydorem Beautrelet na drodze, która prowadzi na skalne wybrzeże.

Była dziesiąta, gdy przybyli do oznaczonego muru. Byłto więc stanowczy moment.

— Cóż ci się stało Beautrelet, zaśmiał się ironicznie Ganimard. Twarz masz prawie zieloną.

— A tobie co jest, odciął się Beautrelet, nie możesz siebie widzieć, a wyglądasz jak gdyby ostatnia twoja godzina wybiła.

Musieli usiąść, a Ganimard popił kilka łyków rumu.

— To nie drobnostka, rzekł Ganimard. Ile razy mam widoki, że potrafię go pochwycić, zawsze coś ściska moje wnętrzności. Chcesz trochę rumu?

— Dziękuję.

— A jeżeli padniesz na drodze?

— Chyba, żebym umarł.

— No, zobaczymy. A teraz otwieraj. Nie mogą nas widzieć, co?

— Nie. Igła znajduje się trochę niżej od skały, na której stoimy, a następnie jesteśmy w pewnem zagłębieniu.

To rzekłszy Beautrelet przybliżył się do muru i nacisnął na cegłę. Wejście do podziemia ukazało się.

Przy świetle latarni, którą zapalili, zauważyli, że podziemie było welbowane i że welbunek jak również podłoga wykładane były cegłami.

Szli przez kilka sekund i doszli do schodów.

Beautrelet wyliczył czterdzieści pięć stopni, murowanych z cegieł, które z biegiem czasu na środku były zużyte.

— Psia...! zaklął Ganimard, który szedł na czele, i który stanął, jak gdyby się o co uderzył.

— Co się stało?

— Są drzwi.

— Do pioruna, szepnął Beautrelet, przyglądając im się. I nie łatwe do rozbicia. Zwyczajny bloch z żelaza, i nic więcej.

— Jesteśmy zgubieni rzekł Ganimard, przy drzwiach nie ma zamka.

— Ta okoliczność daje mi właśnie nadzieję.

— I dlaczego?

— Drzwi są na to zrobione, aby je módz otworzyć, a jeżeli te drzwi nie mają zamka, musi być jaki mechanizm.

— A ponieważ nie znamy tego mechanizmu...

— Wynajdę go.

— Jakim sposobem?

— Zajrzawszy do dokumentu. Czwarta linijka niema innego znaczenia, jak rozwiązywać trudności w tem miejscu, w którem je napotkamy. A rozwiązanie jest właściwie łatwe, gdyż ma na celu dopomódz tym, którzy szukają, a nie zmylić ich.

— Mówisz, że łatwe! Nie jestem pańskiego zdania, rzekł Ganimard, roztworzywszy dokument... Liczba 44 i trójkąt z kropką, dla mnie trudne rozwiązanie.

— Ależ nie, nie. Obejrzyj tylko drzwi. Zobaczysz pan, że na czterech końcach znajdują się trójkątne płyty żelaza, podtrzymane dużemi gwoździami. Weź pan lewą płytę zupełnie na dole... I naciśnij na gwóźdź, który jest w kącie... Jest dziewięć szans na jedną, abyśmy nie mieli dobrze trafić.

— Trafimy na dziesiątą, rzekł Ganimard, popróbowawszy gwoździa.

— Chyba, że liczba 44...

Cichym głosem i namyślając się Beautrelet ciągnął dalej:

— Patrzże Ganimard, oboje stoimy na ostatnim stopniu schodów, na 45. Dlaczego 45, kiedy liczba w dokumencie jest 44... Czy to przypadek? Nie... W całej tej sprawie nie ma przypadkowych zrządzeń. Ganimard, bądź tak dobry i wejdź o jeden stopień wyżej... Dobrze, stój na 44 stopniu. A teraz nacisnę na gwóźdź... Dam głowę, jeżeli się nie otworzy...

Rzeczywiście ciężkie te drzwi obróciły się w zawiasach. Ich oczom przedstawiła się jaskinia dosyć znacznych rozmiarów.

— Musimy znajdować się pod fortem Frefossés, rzekł Beautrelet. Teraz pokłady ziemi są rozmaite. Skończyła się cegła; zaczyna się masa wapienna.

Jaskinię słabo oświetlał promień przedzierający się z przeciwnej strony ściany. Przybliżywszy się, zauważyli, że to szpara utworzona w zagłębieniu skały. Naprzeciw nich, w odległości pięćdziesięciu metrów, wyłaniała się z odmętów morskich olbrzymia skała Igły. Na prawo, bliżej nich, widniał łuk porty d'Aval, a na lewo, w oddaleniu, zamykając półkole tej szerokiej zatoki, znajdował się drugi łuk więcej imponujący, tak zwany Magna porta, tak wielki, że okręt z rozwiniętemi żaglami, wygodnie mógłby przejechać. W głębi, w około, morze.

— Nie widzę naszej flotyli, rzekł Beautrelet.

— Nie możliwe widzieć, odrzekł Ganimard, łuk d'Aval zakrywa nam widok na brzegi od Etretat i od Yport. Lecz widzisz, tam daleko, na morzu tę czarną linię równą z morzem?

— Cóż to jest?

— To jest nasza flota wojenna, torpedowiec numer 25. Teraz Lupin niech ucieka, jeżeli zna jaką podmorską drogę.

Tuż przy owej szczelinie wystająca poręcz znaczyła początek schodów. Zaczęli więc schodzić. Od czasu do czasu napotykali małe okna wykute w skale, i za każdym razem ujrzeli Igłę, która przedstawiała im się coraz potężniejsza.

Krótko przed zejściem na równi z powierzchnią morza nie było już okien, i zapanowała ciemnica.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wśród walki z losem.

24) Wolny przekład z angielskiego przez **S. B.**

(Ciąg dalszy.)

Artur Barklay przypatrywał się choremu, podziwiając w duchu jego chciwość na pieniądze.

— Postaraj się pan stanąć jutro na miejscu — rzekł w końcu — i koszta podróży zapisz na mój rachunek.

— Dziękuję uprzejmie, nie zaniedbam tego.

— I zapomnij pan o owej historyi.

— Będę się starał, o ile moje zapalone gardło, które mi o niej przypomina, pozwoli na to, bym ją uważał jako przyjemny sen, co też prawdopodobnie nastąpi.

— Do widzenia zatem — rzekł Barklay i wolnym krokiem zeszedł ze schodów i wsiadł do czekającego nań powozu.

— Zaledwie Artur Barklay drzwi za sobą zamknął, chory porwał się ze swego posłania z podziwienia godną ze względu na swój stan cierpiący rzeźwością i z natężoną uwagą łowił uchem oddalające się kroki. Usłyszawszy trzaśnięcie bramy i turkot oddalającego się fiakra, skoczył z łóżka z lekkością arlekina, podbiegł do okna i przez szpary żaluzyi patrzył za odjeżdżającym. Teraz wyszło na jaw, że mr. Wirtlow leżał w łóżku w butach i pantalonach, a raczej dowiedziawszy się, kto do niego przychodzi w garderobie do łóżka się układł.

Jakkolwiek mr. Wirtlow był ogólnie szanowanym od swych współobywateli i nikt w całem Clingford nie słyszał jeszcze, by z ust komisarza aukcyjnego miał wyjść kiedykolwiek jaki wyraz nieobyczajny, to za to teraz dając folgę swym uczuciom wysypał za odjeżdżającym cały grad klątw i złorzeczeń, jakichby się nikt nie był spodziewał po człowieku tak przyzwoitym.

— Już ja rachunek pomiędzy nami ureguluję — mruknął pod nosem — pobiegł następnie do kominka, spojrzał na zegar, by się przekonać, która godzina, spakował swój kuferek podróżny, ubrał się spiesznie i zaczerwieniony jak burak zbiegł ze swym tłumoczkiem do gospodyni hotelu, której po lekkiej sprzeczce z powodu wysokiego rachunku zapłaciwszy co się należało, posłał następnie jej syna, by mu fiakra sprowadził.

W trzy kwadranse później siedział już w wagonie drugiej klasy nadzwyczajnego pociągu w drodze do Clingford. Gdyby Artur Barklay był jeszcze dwie minuty dłużej u niego zabawił, to mr. Wirtlow nie byłby dnia tego oglądał Weddercombe.

Punkt o dziewiątej stanął mr. Wiljam Wirtlow na stacyi Clingford, a w dziesięć minut później był już w domu ku niemałemu zdziwieniu swej siostry, Polly.

— Dla Boga! Wiliamie, jakżeś mię wystraszył — zawołała miss Wirtlow rzucając mu się na szyję. Dla czego nie napisałeś poprzednio, że przyjeżdżasz?

— Cóż tak wpadasz na mnie? — zawołał wyrywając się z jej uścisku — mógłby kto myśleć, żeś mię rok cały nie widziała.

— Było tu tak smutno podczas twej nieobecności — uniewinniała się siostra.

— Nie widzę do tego żadnego powodu — odpowiedział. — Podaj mi herbaty i opowiedz, co się tu przez ten czas działo.

— Czy masz ból gardła? — zapytała zauważywszy, że przełykał z niejaką trudnością.

— Tak, bardzo silny.

— Jestem przekonana, że w Londynie mało na siebie uważasz.

— Pochlebiam sobie, że wiem dostatecznie, jak mam postępować — odpowiedział mr. Wirtlow z głębokiem przeświadczeniem o swym wielkim rozsądku. — Czy jest światło w mojej pracowni?

— Nie będziesz przecie chciał pracować jeszcze dzisiaj wieczór.

— Mam wiele do roboty, Artur Barklay przyjeżdża jutro rano, a ponieważ ma zamiar jak najprędzej objąć Weddercombe, chce je wpierw ze mną zrekognoskować. To zajmie znaczną część dnia, a muszę przedtem jeszcze niejedno załatwić.

— Cieszyłam się, że mi będziesz miał wiele do opowiadania o Londynie. Nie przywiozłeś mi nic z Londynu?

— Nie plotłabyś lepiej, miałem dość ze samym sobą do czynienia, bym jeszcze miał pamiętać o podarunkach dla ciebie.

— O, bardzo wierzę, — odpowiedziała sarkastycznie siostra i wyszła trzasnąwszy drzwiami.

Kiedyindziej byłby może mr. Wirtlow przedłużył rozmowę, dziś jednakże miał przed sobą sprawy zbyt naglące. Udał się zatem do swej pracowni i zamknął drzwi na klucz. Gdy o godzinie jedenastej siostra, która przyzwyczajona była kłaść się spać wcześniej zapukała do niego, pytając, czy nie życzy sobie co zjeść, odpowiedział jej, że jest zbyt zajęty, i że ma mu tylko przysłać wody i koniaku i pójść na spoczynek.

Polly wykonała polecenie. Upewniwszy się, że siostra się już spać położyła, odsunął na bok papiery, zamknął biurko i czekał, aż się wszystko w domu uciszy.

Właśnie wybił zegar trzy kwadranse na dwunastą. Wtedy podniósł się ostrożnie, wymknął cichaczem z domu i udał się drogą wprost do Weddercombe wiodącą. Mr. Wirtlow był człowiekiem bojaźliwym, jakkolwiek przed nikim nie byłby się przyznał do tej słabostki, ale był przytem ciekawy jak sroka, a tutaj nadarzała mu się świetna sposobność dowiedzenia się czegoś, co w przyszłości wielkiej dla niego mogło być wagi.

Gdy klucze od Weddercombe zostały mu oddane przetrząsnął pilnie wszystkie pokoje w całym pałacu od pierwszego do ostatniego. Miał nawet zamiar zamieszkać tam aż do powrotu mrs. Barklay, ale niepojęta w swych kaprysach kobieta rozkazała, by służbę rozpuszczono i dom pozostał zamkniętym. Wstrętnem było dla niej teraz to miejsce, które jej dotąd było tak miłem, i pragnęła nigdy już więcej do niego nie wracać; przeznaczenie zmuszało ją przecież w interesie mrs. Graves progi jego raz jeszcze przekroczyć.

1859 Hurtowy Handel win pod złotym Wiankiem

Najtańsze i najlepsze źródło zakupu
czystych i odstałych
win górnowęgierskich
oraz **wybornych, smacznych**
win słodkich Tarragońskich

łagodno słodkie 1/1 ltr. mk. 1,50 mk.) włącznie szkła.
pełne „ 1/1 ltr. mk. 2,00 mk.)

Koniaki, Rumy, Araki.
Wina z Bordeaux (czerwone i białe)
znajdują się u starej renomowanej firmy: 65

A. Pfitzner

w Poznaniu (Stary Rynek 34) wchód z ulicy Wiankowej.
Mád pod Tokajem własne winnice.

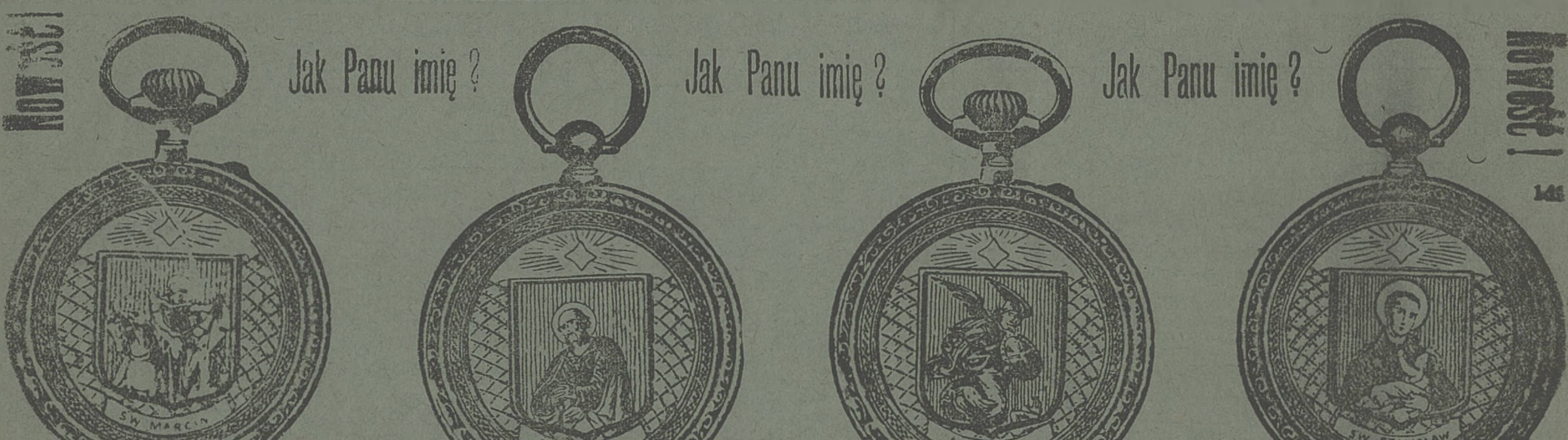
Cenniki bezpłatnie. Kupcom znaczny rabat.

Patent. zastrzeż: „Donatol“ błyszczyk na obuwie. pierwszorzędny fabrykat z chemicznej fabryki „Donatol“ Wąbrzeźno Pr. Z. (Briesen, Wpr.) wszędzie do nabycia.

Wprawiam i plombuję zęby
podług najnowszej metody po przystępnych cenach. — Wykonanie dokładne i artyst. Przyjmuję od 9. rana do 6. po południu. 125
J i A. Marszałek,
Poznań, św. Marcin 56, I,
Zakład dentystyczny.

DRYGAS
Fortepiany i harmonie tanio a rzetelnie poleca **A. DRYGAS** Poznań, Św. Marcin 64.

Jak Panu imię? Jak Panu imię? Jak Panu imię?



M. 18,00. M. 18,00. M. 18,00.

Każdy zdumieje gdy ujrzy na **zegarku swego św. Patrona** w tak artystycznem i nad wyraz pięknem wykonaniu. **Wizerunki** są tak [illegible] i cudnie oddane. że uchodzić mogą za dzieło tego rodzaju w świecie. **Zegarek taki** powinien **każdy posiadać**, lub jako **pamiątkę** ojcu brata albo i[illegible] mu ofiarować **Czysto srebrne zegarki** z wizerunkami każdego **św.** patrona: więc św. **Stanisława, św. Józefa**, św. **Wojciecha**, św **Marcina**, św **Jana**, św **Wawrzyńca**, św. **Antoniego**, św. **Franciszka**, św. **Jakóba** i wogóle każdego innego swego św. **Patrona** może mieć każdy artystycznie wykonanym na szczero srebrnym, trwałym i pamiątkowym zegarku za tylko mk 18,00 z pięknie rytow. złotemi brzeg. i wskazówkami. Werk zegarka tego jest jedynie najlepszy cylinder klucz. lub rem. na 10 rubis, kamieniach, już dokładnie obciągane i na minutę uregulowane Za każdy zegarek daję na **5 lat** piśmienną gwarancyą. Jeżeliby zegarek nie miał się podobać, to wracam pieniądze. Zegarki z wizerunkami **Matki Boskiej** po **12,00**. **14.00** i **16.00 mk.**

Cenniki około 3000 ilustracyi wysełam darmo i franko.

Adres: **M. Danecki,** Poznań - Posen, Św. Marcin 58, I. piętro.

Nowości wiosenne.



Paltoty i płaszcze kolorowe
od **5,75** do **98,00** mk.

Suknie gotowe
od 12,00 mk. do 175,00 mk.

Bluzki
od **95** fen. do **75,00** mk.

Spodnice kolorowe
od **2,25** do **52,00** mk.

Paltoty i okrycia czarne
od **6,50** do **135,00** mk.

Kostyumy gotowe
od 12,00 mk. do 225,00 mk.

Halki
od **1,45** mk. do **52,00** mk.

Spodnice czarne
od **5,75** do **78,00** mk.

Kostyum **„MARTA“**
z czysto wełnianego dobrego sukna w rozmaitych kolorach 472
kosztuje wyraźnie **39,00 mk.** na jedwabnej podszewce.
Ten sam kostyum za **33,00 mk.** z kamgarnu na satinetce.

Magazyn konfekcyi damskiej. **K. Siuchniński, Poznań.** Ulica Nowa Narożnik St. Rynku.

Szkoła handlowa Preissa
Ul. Św. Marcina nr. 64.
Założona 1893 r. **Telefon nr. 2699**
Nowe kursa rozpoczynają się **dnia 4. kwietnia.**
Gruntowna, praktyczna nauka przez doświadczone i rutynowane siły nauczycielskie.
Kurs trwa 3 miesiące.
Nauka w klasach oddzielnych podług planu zaprowadzonego w pierwszorzędnych szkołach handlowych. Tygodniowo 27 lekcyi obowiązkowych. 73
Prospekty na żądanie.
Zgłoszenia przyjmuje się codziennie od godziny **2—4** i od **6—7.**

Księgarnia Katolicka, Poznań, ul. Jezuicka 5.
wydała i poleca książkę kucharską p. t.
Makarego 730 obiadów
wielkich, średnich i małych, mięsnych i postnych z opisem śniadań i wieczerzy, tudzież spiżarni, sklepu i kuchni dla chorych, oraz pieczenia ciast i robienia konfitur. — Wielki format, papier gruby. druk bardzo wyraźny, str. 360. **Cena bez oprawy 2.20 mk., z opr. 3.00, porto 20 fen.** Należytość nadsyłać naprzód lub zamawiać za zaliczką.
Uwaga: Makary sztuki gotowania uczył się w Francyi i Anglii, a wróciwszy z podróży osiadł w Poznaniu i zarządzał kuchnią w Bazarze, największym hotelu tego miasta. — Potrawy w jego książce, nie są wypisane z innych dzieł, lecz oparte na własnem doświadczeniu.

Nakładem i drukiem „Pracy“ Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktorzy odpowiedzialni: Za dział polityczny, wiadomości i dział illustrowany p. Bolesław Rakowski z Poznania, za dział ogłoszeń p. Wincenty Szmytkowski z Poznania.